

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 9 III, 1952 r.

Nr. 10 (344)



Foto Cz. Swirta

SALWATORE DI BENEDETTO

KOBIETA WSZYSTKICH KRAJÓW

Kobieta mego dzieciństwa —
pochylona nade mną twarz świata —
burza czarnych włosów ponad oczu błękitem,
jak gdyby kula ziemską zawieszona nad moim wzrokiem.

Kobieta mego dzieciństwa
wkładająca słodką bułkę
w moje słabe i chłodne dłonie,
ze słowami; rośnij, rośnij przędko!

Kobieta, ucząca mnie pośpiechu
i woli przybycia
przed czasem
do mety.

Kobieta, która kładła mi dłoń opiekuńczą i słodką
na włosy rozwichrzone,
po biegu na przelaj przez pola.

Kobieta, która odprowadziła mnie o świcie do progu
przed moją pierwszą podróżą
w nieznany świat.

Kobieta, która mi wskazała
pochyłe plecy górników
— ludzi zgarbionych pod ziemią —
i powiedziała; rośnij i czyn sprawiedliwości!

Kobieta, która przychodziła do wrót więzienia,
do mnie, swego syna — syna całego świata,
by swym sercem umocnić moje serce
dla jutrzejszej walki i odwetu.

Kobieta, która między murem a kratą
powiedziała mi: uroś, synu,
należysz już do świata.

Kobieta, którą spotkałem na mojej drodze,
która, nie znając mnie, czekała na moje przybycie,
a której przyjście przeżywałem na długo przedtem.

Kobieta, która odczuwała moje mocne serce
i pokochała we mnie siłę.
Kobieta, która całowała moje rany
i umaczała ręce w mojej krwi.

Kobieta, z którą przeszedłem drogę najsmutniejszą,
i z którą przebiegłem najpiękniejszą z dróg.

Kobieta, która jest moją matką
i objęła macierzyństwo całego świata.

Kobieta — matka mego dziecka
i matka wszystkich dzieci...

Kobieta, która trzymasz w ręku
kwiat lub młot,
albo broń wolności,

Kobieta wszystkich krajów,
każdego okresu
i każdej chwili życia,

Kocham Cię
sercem każdego człowieka,
sercem i krwią każdego towarzysza.

Thumaczyła z włoskiego
SABINA COLLILIEUX

JÓZEF NIECKO

„Konstytucja budowy socjalizmu“

I oto w zaraniu tej drugiej wielkiej Wiosny Ludów, dzięki bohaterstwu wysiłkowi Polskiej Partii Robotniczej, powstał obóz demokracji ludowej, który określił swoje oblicze polityczne i społeczne w zapowiedzi historycznego, Manifestu PKWN. Zapowiedzi te nie były czystymi słowami. Obóz ukształtowany na podłożu sojuszu rewolucyjnej klasy robotniczej z masami chłopów pracujących przystąpił pod przewodnictwem Polskiej Partii Robotniczej do przeprowadzenia najpilniejszych zadań politycznych i społecznych, bez zwlekania i odkładania swych zapowiedzi na nieokreśloną przyszłość; zakładając fundamenty państwa ludowego od razu podjął wykonanie najpilniejszych reform społecznych.

Likwidacja obszarnictwa, jako głównego bastionu wyzysku reakcji i czołowej podbudowy ustroju kapitalistycznego - faszystowskiego w życiu wsi, a zarazem przekazanie obszarnej ziemi najbardziej potrzebującym i biednym chłopom, była to jedna z pierwszych i najbardziej zasadniczych reform społecznych.

W tym momencie możemy sobie powiedzieć szczerze: gdybyśmy byli pozbawieni kierowniczego działania PPR, jako rewolucyjnej awangardy klasy robotniczej, sami, w oderwaniu od klasy robotniczej, nie zdołalibyśmy ustanowić ludowładztwa, zlikwidować obszarnictwa i dokonać przejęcia ziemi w swoje ręce. Gdy po ogłoszeniu dekretu PKWN o reformie rolnej zjawili się we wsiach grupy robotników, upoważnionych przez władzę ludową do kierowania reformą, wzmożła się wtedy i nasza chłopska wola rewolucyjnego działania i stało się zadaniem najpilniejszym interesem i woli mas chłopskich.

Pomyślnie przeprowadzona likwidacja obszarnictwa i przejęcie ziemi przez chłopów — to rezultat działania sojuszu robotniczo - chłopskiego pod wodzą klasy robotniczej, to rezultat zasady wspólnej pracy i walki mas ludowych o wspólne cele, zabezpieczające sprawiedliwość społeczną i postęp gospodarczy, oświatowy i kulturalny mas ludowych a nade wszystko zabezpieczające władzę ludu pracującego miast i wsi.

Po likwidacji obszarnictwa bardzo rychło przyszedł czas na likwidację prywatnego wladania przemysłem, handlem, bankami itd. Było to wyzwanie ludu pracującego od wyzwolenia, a kraju od haniebnego jarzma imperialistycznego kapitalu, który Polskę czynił swoją zaciętą kolonią.

W ten sposób władza ludowa już w początkach swego istnienia, realizując najpotężniejsze bastiony wład-

stwa wyzyskiwawczy rozpoczęła wykonać zadania, które artykuł 3 projektu Konstytucji tak określa:

Polską Rzeczpospolitą Ludową:

1) Stoi na straży zdobyczy polskiego ludu pracującego miast i wsi, zabezpiecza jego władzę i wolność przed siłami wrogimi ludu;

2) zapewnia rozwój i nieustanny wzrost sił wytwórczych kraju przez jego uprzemysłowienie, przez likwidację zacofania gospodarczego, technicznego i kulturalnego;

3) organizuje gospodarkę planową, opierając się na przedsiębiorstwach, stanowiących własność społeczną;

4) ogranicza, wypiera i likwiduje klasy społeczne, żyjące z wyzysku robotników i chłopów;

5) zabezpiecza stały wzrost dobrobytu, zdrowotności i poziomu kulturalnego mas ludowych;

6) zapewnia wszechstronny rozwój kultury narodowej.

Wszystkie te zadania, które projekt Konstytucji w ten sposób określa, urzeczywistniać się zaczęły już na progu wyzwolenia. A nasz pierwszy plan 3-letni rozwinął je.

Cała reakcja była przekonana, że władza ludowa nie poddała się zadaniom prowadzenia gospodarstwa narodowego, że w rezultacie nie tylko nie poddała wyprzedać gospodarki narodowej na drogę postępu i rozwoju, lecz — wprost przeciwnie — zdewastuje i doprowadzi do bankructwa, a wtedy nastąpi nawrót imperializmu, kapitalizmu i władztwa imperialistów nad Polską.

Pewnym tego był i zachodnio - europejski kapitalizm, z monopolistami amerykańskimi na czele. Pewnym był nie dlatego, by nie znał i nie doceniał możliwości twórczych władzy ludowej, ale dlatego, że nie doceniał żywej siły i szczytnych tradycji rewolucyjnego ludu polskiego, że masę ludową traktował jak szerokie rozlewkę, przesiąkniętą klerykalizmem, ciemnotą i zacofaniem. W pojęciu Anglosasów na powierzchni rozlewkę ciemnoty ludowej — jedną siłą zdolną do świadomego działania i pociągnięcia za sobą mas ludowych była siła reakcyjnego kleru i bogaczy wiejskich — na wsi, a reakcyjnego kleru i burżuazji w mieście. Zaktywizowanie tych sił przeciwko konstruktywnym działaniom władzy ludowej budziło w Anglosasach nadzieję, że reakcja polska odniesie zwycięstwo. W sprzyjających zaś okolicznościach ziemie reakcyjnej Polski z łatwością zostaną przeistoczone w bazę wypadową anglosaskiej krucjaty przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

W tym momencie nie ma potrzeby odzwierciedlania całokształtu planów an-

glosaskich, podjętych nie tylko w stosunku do Polski, ale również w stosunku do wszystkich środkowo - europejskich narodów, walczących o demokrację ludową. Należy jednak poświęcić trochę czasu tej części planów anglosaskich, które zostały powierzone do wykonania Mikołajczykowski.

Gdy w roku 1945 przybył Mikołajczyk do Polski, przybył on nie tylko jako prawicowy, czołowy reprezentant bogaczy wiejskich, ale jako zakapturzony agent wrogości Polsce imperializmu, którego zadaniem było zorganizowanie dywersji i wojny domowej. Tym też należy tłumaczyć, że zgromadził on wokół siebie byłych obszarników, kulaków i burżuazję mieszczańską - kapitalistyczną oraz reakcyjną część kleru i najbardziej wsteczne elementy wsi.

Elementy zapóźnione w rozwoju swej świadomości społeczno - politycznej na wsi miały zająć na lew „partia dla wszystkich” oszukańczy hasłem agraryzmu — innymi słowy, koncepcją ustroju rolnego, zabezpieczającego interesy bogatych chłopów. Naczelną zasadą agraryzmu było stworzenie w ramach ustroju kapitalistycznego silnych, bogatych gospodarstw chłopskich, które by zajęły w Polsce pozycję bankrutującego obszarnictwa i wespół z resztkami tego obszarnictwa — stanowiły główną podbudowę ustroju kapitalistycznego.

A co w tej koncepcji agrarystycznej miało stać się na wsi z mało i średniorolnymi chłopami?

Na to pytanie dawał na wskroś wyrażną i zdecydowaną odpowiedź program przebudowy ustroju rolnego w Polsce, opracowany już w czasie okupacji hitlerowskiej przez prawicową delegaturę, tzw. rząd londyński. Program ten zapowiadał nie likwidację obszarnictwa, lecz tylko ograniczenie do pewnego maksimum posiadania (do 150 lub 180 ha), a więc gospodarcze zbliżenie obszarników do kulactwa chłopskiego. Powstały w ten sposób zapas ziemi, jako niedostateczny, reakcyjni programowcy proponowali powiększyć poprzez wywłaszczenie wszystkich małorolnych, a nawet podupadających średniorolnych.

Dla kogo ten zapas ziemi przeznaczał reakcyjni programowcy?

Na wzmocnienie bogatych gospodarstw, a więc na poszerzenie bazy bogactwa - kulackiej na wsi.

Bardzo rychło przysłowiowe sztydo wyłazło z worka i Mikołajczyk rozprowadził, jako agent imperializmu i agrarystycznej, antychłopskiej polityki, spotał się z należytą odprawą nie tylko klasy robotniczej, ale i najbardziej świadomej części pracujących mas chłopskich, walczących o

demokrację ludową pod sztandarami PPR i SL.

Im bardziej uwyraźniała się kulacka, antynarodowa i anglosaska istota polityki Mikołajczyka, tym szybciej narastał ferment w mikołajczykowski PSL, w rezultacie Mikołajczyk stracił grunt pod nogami. Wobec czego cichem uciekł do swych mocodawców, by wedle nowych instrukcji knuć najpodlejsze plany zdrady narodowej. Rozbite też zostały sprzymierzeńce dla Mikołajczyka siły winowsko - eneszelowskie, czyli sanacyjno-oenerowskie podziemie.

Wszystkie te dywersyjne działania były wymierzone przeciw władzy ludu pracującego, ale wszystkie one poniosły klęskę. Ludowładztwo ustanowione w Polsce okrzepło. I nadszedł czas, aby w Konstytucji zapisać:

„Wcielając w życie wiekopomne wskazania Manifestu z dn. 22 lipca 1944 r. i rozwijając jego zasady programowe władza ludowa — dzięki ofiarom i twórczym wysiłkom polskiego ludu pracującego, w walce z zaciekłym oporem rozbitek starego ustroju obszarniczo - kapitalistycznego — dokonała wielkich przeobrażeń społecznych. W wyniku rewolucyjnych walk i przemian obalona została władza kapitalistów i obszarników, utrwaliło się państwo demokracji ludowej, kształtuje się i umacnia nowy ustrój społeczny, odpowiadający interesom i dążeniom szerszych mas ludowych.

Jeżeli mogła się urzeczywistnić wielka idea ludowładczego ustroju, jeżeli ten ustrój w walce z wrogiem nie zachwiał się, nie osłabł, lecz przeciwnie okrzepł, to stało się to z tej przyczyny, że była i jest siła ześpalająca, wywołująca dążenia ludu. Siła sojuszu robotniczo - chłopskiego, a w tym sojuszu, przewodnią rolę klasę robotniczą, która w swojej walce kieruje się dobrem całego ludu pracującego, która dla całego ludu pracującego zdobyła władzę i narodowi przekazała bogactwa odebrane ciemnieżyтелям. Która wreszcie ma pełną jasność dążeń i celów i pewnie prowadzi lud pracujący ku urzeczywistnieniu tego, aby żaden człowiek nie wyzyskiwał drugiego człowieka, aby każdy dał z siebie na co go stać, a otrzymał wedle swej pracy, a nie wedle przywileju bogactwa czy urodzenia.

Chłopu pracującemu, który tyle wycierpił od wyzysku możnych, który harując ponad siły, otrzymywał za ledwie okruh łez, jak wytwórca, nie może być bliżej, co jest idealnym celem, którym na imię socjalizm.

Józef Niecko

Fragment przemówienia na Radzie Naczelnej ZSL w dn. 1.III. 52 r.

ALEKSANDER JUSZKIEWIČZ

„Część ogólnego ruchu“

NASZA Konstytucja utrwała klasową treść obecnego okresu, polegającego na tym, że:

Po pierwsze: — klasa robotnicza z masami pracującego chłopstwa, obalwyszy panowanie obszarnictwa i kapitalizmu ujęła władzę polityczną w kraju, zerwała okowy imperializmu i objęła jego macki, najpierw — mikołajczykowski a potem prawicowo - nacjonalistyczne, typu titowskiego, sięgające po naszą wolność. Zaciętnia przyjaźń i sojusz z tierdzą pokój, wolności narodów i socjalizmu — Związkiem Radzieckim i z krajami demokracji ludowej. Wyszła plan i podjęła realizację dzieła budownictwa socjalistycznego.

Po wtóre: — klasa robotnicza w oparciu o biedotę wiejską, w trwałym sojuszu ze średniakami, podjęła walkę o złamanie oporu wyzyskiwaczy, a wśród nich najliczniejszej klasy — kulactwa.

W ten sposób klasa robotnicza i jej czołowy oddział — PPR, stworzyły przesłanki polityczne, gospodarcze i kulturalne dla przekształcenia się naszego narodu w naród socjalistyczny — dla przejścia od kapitalizmu do socjalizmu.

„Nowy ruch ludowy — pisał Prezydent Bierut w październiku 1950 r. — może spełnić swoją rolę społeczno - rewolucyjną tylko, jako ściśle zwarta ideologicznie z całością przemian rewolucyjnych w procesie budownictwa socjalistycznego część ogólnego ruchu, którym kieruje klasa robotnicza — czołowa siła socjalizmu“.

Zjednoczone Stronnictwo Ludowe jako całość, szło i idzie konsekwentnie tą drogą.

Nie należy jednak przemilczać faktów trafiających się tu i ówdzie błędów i wypaczeń, bądź nieświadomości, bądź maskowanych nieświadomością. Bowiern, kto tych prawd nie uznaje, kto je — podważa, — ten — rzecz

jasna — staje w ostrym konflikcie z naszą drogą do socjalizmu. Ten, z tej drogi schodzi na drogę odbudowy kapitalizmu — na drogę zdrady ludu.

Trafiają się niestety, jeszcze i dziś tacy „zapóźnieni działacze“. Taki zapóźniony działacz nie może, albo nie chce zrozumieć, co to znaczy, że w roku 1938 około 65 proc. ludności utrzymywało się z rolnictwa, a tylko 35 proc. z pracy poza rolnictwem — w przemyśle i innych zawodach. Zaś w roku 1951 — z rolnictwa utrzymywało się tylko 45,4 proc., a z przemysłu — 54,6 proc. Taki zapóźniony działacz chyba nie rozumie, co to znaczy, że tylko w latach 1949 — 51, stan zatrudnienia poza rolnictwem wzrósł o 1,2 miliona ludzi. Nie rozumie, co to znaczy, włożyć inwestycję w ciągu jednego tylko roku 1951 prawie 25 miliardów złotych. Co to znaczy zatrudniać ponad milion ludzi na budowach inwestycyjnych, które na razie nie zwiększają fali towarów, lecz pochłaniają olbrzymie ilości towarów. Taki zapóźniony działacz i faktycznie oderwany od potrzeb wsi nie rozumie, co to znaczy, że z górą milion chłopów dostało około 7 milionów ha ziemi. Nie rozumie, jak bardzo postąpił proces zseferdzania wsi, jak wzrosła konsumpcja artykułów żywnościowych, produkowanych w gospodarstwie, jak również konsumpcja artykułów przemysłowych. Jak została zlikwidowana podaż głodowa, huśtawka cen, brak rynku na płody rolne, głód ziemi, pracy i oświaty na wsi.

Taki zapóźniony działacz nie rozumie, co wynika z faktu, że w roku 1955 wartość naszej produkcji przemysłowej będzie 2,5 razy większa od wartości produkcji rolnej, podczas gdy w roku 1938 wartość produkcji przemysłowej stanowiła połowę wartości ogólnej produkcji.

Taki działacz nie rozumie, co to znaczy, że nasz plan na rok 1951

przekroczył w wykonaniu o 22 proc., a plan na 1952 rok przekroczył o 16 proc. wskaźniki roczne na te lata Planu 6-letniego.

Tymczasem, te wszystkie fakty z dziedziny szybkiego rozwoju sił wytwórczych naszego kraju, mówią każdemu, kto chce zrozumieć ich prawdziwy sens.

Po pierwsze: że idziemy ku wspaniałemu rozwojowi dobrobytu, kultury i siły naszej Ojczyzny.

Po wtóre: że coraz szybciej idziemy ku pełnemu urzeczywistnieniu zasady, że żaden człowiek nie może wyzyskiwać innego człowieka.

Po trzecie: że na tej drodze stawia nam coraz zacieklejszy opór wróg klasowy, to znaczy ci, którzy nawykli żyć z wyzysku chłopów i robotników.

Wreszcie po czwarte: że postępy nasze na tej drodze wymagają dwóch rzeczy: nieustępliwego, twardego i czujnego łamania oporu wroga i dużej ofiarności w toku walki o rozwój sił wytwórczych kraju.

✱

Ale żadne trudności w tej czy innej dziedzinie nie są zdolne zasłonić przed oczyma wsi wylaniających się już zasadniczych rysów Polski nowej, wyrwanej z wiekowego zacofania. Widać tę Polskę z każdej gromady, z każdej chłopskiej chaty, a w miarę jak się ona wylania rośnie we wsi, rośnie w naszych szeregach zetęsełowskich ofiar, ofiarujących ofiarnością w pracy i w walce klasy robotniczej i Partii. Również autorzytet sojuszu robotniczo - chłopskiego i kierowniczej w nim roli Partii. Setki tysięcy chłopów, setki tysięcy młodzieży wiejskiej — pracujących w przemyśle i na budowach Planu 6-letniego — to wielka armia propagandystów — wielka, a przecież nie jedyna.

Im głębiej bowiem sięgniemy do gmin i gromad, im głębiej w masę —

tylko więcej dowodów wierności podstawowych mas chłopskich, dla spraw sojuszu robotniczo - chłopskiego, dla władzy ludowej, dla naszej drogi do socjalizmu.

Wydobymy się na powierzchnię świadomości pracującego chłopca elementy psychiki człowieka pracy, odgarniając i niszcząc w tej świadomości, co było wytworem stosunków kapitalistycznych. Te przemiany w świadomości pracujących chłopów, dokonywane się na bazie zwycięstw politycznych, wygranych bitew klasowych, na bazie rozwoju naszej gospodarki i kultury mają niezmierznie wielkie znaczenie dla naszego budownictwa socjalistycznego.

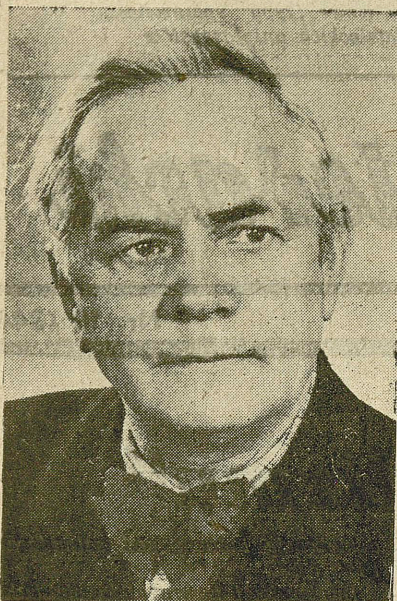
Jesienna akcja była wielką próbą ogniu ZSL i całego aktywu. Doprowadzone do wyższej świadomości mas członkowskie zdolności pokonały liczne trudności i opory, stojące na przeszkodzie w wykonaniu planów. Dowodem tego były ożywione, często do późnej nocy, dyskusje, zazwyczaj wspólnie z PZPR-owcami na gromadach i gminach, poświęcone krytyce dotychczasowej działalności ogniu i dążność do przewyżczenia i likwidacji popełnionych błędów.

Jesienna akcja ukazała nam w gromadach i gminach niewspółmiernie do uprzednich doświadczeń wielki liczebnie i nowy, niejako samorodny aktywny, który niejednokrotnie przerósł aktywność siły swojej argumentacji i trafnością przekonywania chłopów o słuszności i konieczności wykonania planów przysłać. Aktywność oddolną, który wyrósł z własnych sił i pnie się w górę, jako świeża, rewolucyjna kadra przemian społecznych na wsi, hartująca się w codziennej walce o chleb dla Państwa i klasy robotniczej.

Aleksander Juszkiewicz

Fragment przemówienia na Radzie Naczelnej ZSL w dn. 2.III.52 r.

Rozmowa z Hansem Marchwitzą



Hans Marchwitz

W ubiegłym tygodniu bawił u nas na zaproszenie Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą znany pisarz niemiecki Hans Marchwitz.

Poniżej zamieszczamy wywiad z pisarzem w rozmowie z MARCELIEM RANICKIM.

„Nie umiem określić mojej narodowości. Urodziłem się w 1890 roku na Górnym Śląsku. Rodzice moi pochodzą z polskiej szkoły, w domu mówiono po polsku, oczywiście górnosłaską gwara. Od dwudziestego roku życia mieszkam w Niemczech. Na Śląsku byłem górnikiem. W Zagłębiu Ruhry byłem górnikiem.

Niemcy stali się moją ojczyzną, gdyż od czterdziestu lat walczę w niemieckim ruchu robotniczym.

Rodzina moja żyje zresztą po dzień dzisiejszy w Polsce. Przez 40 lat nie miałem żadnego kontaktu z najbliższą rodziną. Dopiero trzy lata temu, gdy byłem szefem niemieckiej Misji Dyplomatycznej w Pradze, otrzymałem list następującej treści: „Drogi Hansie Marchwitz! Jeżeli urodziłeś się 25 czerwca 1890 roku w Szarleju, jeżeli jesteś synem Tomasza i Tekli, jeżeli jesteś bratem Agnieszki, Katarzyny i Elżbiety, jeżeli więc jesteś moim bratem — odpowiedz mi!” List ten był pisany przez moją siostrę, która po dzień dzisiejszy mieszka w Piekarach na Górnym Śląsku, w owej miejscowości, którą opisałem w książce „Moja młodość”.

Oczywiście natychmiast odwiedziłem rodzinę. Pozostali w naszym zawodzie: są nadal górnikami i z przyjemnością stwierdziłem, że dobrze im się w Polsce Ludowej powodzi. Rozeszły się nieco drogi życiowe mojej rodziny, ale właściwie nie, wcale się nie rozeszły: oni walczą o socjalizm w szeregach PZPR, ja w szeregach SED, oni w kopalniach, gdzie i ja przez dwadzieścia lat pracowałem, ja zaś obecnie piórem. Węgiel, który oni wydobywają i słowo, które piszę — jednej i tej samej sprawie służą.

Ogromne wrażenie zrobił na mnie pobyt w moich rodzinnych stronach: w Szarleju i w Piekarach. W tamtych kopalniach pracowałem przez tyle lat, pracowałem w najprimitywniejszych warunkach. Miałem 14 lat, gdy zacząłem. Czasem byliśmy 6 godzin na dobie pod ziemią, głód i niedożywienie były bezustannie naszej pracą. Dlatego też, gdy miałem lat dwadzieścia, emigrowałem do Zagłębia Ruhry. Myślałem, że praca będzie tam lepsza. Omyliłem się. Nie wiedziałem wówczas jeszcze, że na Śląsku i w Ruhrze ci sami kapitaliści wyzyskują i gnębią robotnika. Gdy to zrozumiałem, wiedziałem, że istnieje tylko jedna droga do poprawy warunków życia mas robotniczych: rewolucyjna walka z ustrojem kapitalistycznym.

Alle powracając do mego niedawnego pobytu w Szarleju i w Piekarach: mam nadzieję, że wrażenia stamtąd wyniesione znajdują odbicie w mojej twórczości. Noszę się z zamiarem napisania powieści, która byłaby oparta na życiu mojej rodziny w chwili obecnej. W powieści tej dążyć będę do ukazania pracy i walki górników polskich na Śląsku i górników niemieckich w Zagłębiu Ruhry, okupowanym przez anglo-amerykańskich imperialistów. W tym celu będę musiał oczywiście przez nieco dłuższy okres zatrzymać się w moich rodzinnych stronach. Pracowałbym znowu trochę w tych samych kopalniach, w których przed pierwszą wojną, tak się męczyłem.

Zależy mi bardzo na tym, by w powieści tej ukazać prawdziwe oblicze amerykańskich okupantów, rządzących dziś w Niemczech Zachodnich. Miałem w życiu dosyć sposobności, by poznać bliżej tych amerykańskich „Kulturträgerów”.

Gdy na początku ostatniej wojny udało mi się we Francji uciec z obozu, w którym byłem internowany za udział w wojnie w Hiszpanii, dostałem się do Meksyku. Wystarali się o to towarzysze — pisarze, którzy byli na emigracji w tym kraju, a więc przede wszystkim Ludwik Renn i F. C. Weiskopf. Udałem się w podróż razem z Gerhardem Eislerem i Albertem Nordenem. Droga wiodła przez Nowy Jork. Amerykanie zatrzymali nas, osadzili na Ellis Island w oślawionym obozie i zwolnili dopiero po czterech tygodniach. Na dalszą podróż do Meksyku władze amerykańskie nie udzieliły nam zezwolenia. Znalazłem się w Nowym Jorku bez środków do życia.

Pewnego wieczoru czytałem w antyfaszystowskim klubie w Nowym Jorku fragmenty z moich utworów. W czasie czytania zauważyłem, iż jeden ze słuchaczy przypatrzył mi się ze szczególnym zainteresowaniem. Gdy skończyłem, podszedł do mnie i zachwycił się mną w niezwykle serdecznych słowach, proponując mi natychmiast współpracę. Byłem wzruszony tym pierwszym, tak niespodziewanym sukcesem na ziemi amerykańskiej. Doznałem jednak rozczarowania, gdyż szybko wyjaśniło się nieporozumienie. Nie moje utwory zrobiły wrażenie na owym osobniku, lecz moja figura, toteż pragnął mnie pozyskać, jako pracownika. Był to bowiem malarz pokojowy i proponował mi pracę w charakterze ucznia malarzkiego. Powiedziałem mu, że mam już 53 lata. Nie przejął się tym, gdyż widział, że ma do czynienia z krępkim mężczyzną. Nie wahalem się długo: była to bowiem jedyna propozycja pracy, jaką mi w Ameryce zrobiono, przyjąłem ją więc. Nie latwa to rzecz dla starego górnika i młodego pisarza (bo mimo 53 lat, byłem wówczas pisarzem jeszcze bardzo młodym) uczyć się nowego zawodu. Muszę się pochwalić: spisałem się nienajgorzej. Szybko jednak porzuciłem pracę malarzską. Zbyt niskie były stawki, by móc z tego żyć. Zaczęłem pracować, jako brukarz. Cementowanie trotuarów — to cięższa wprawdzie praca, ale za to stawki były nieco wyższe. Tak, muszę powiedzieć, że mój okres u „wujka Sama” nie był łatwy. Mimo wszystko znalazłem jednak czas, żeby wówczas także pisać. W Ameryce powstała pierwsza wersja mojej dużej powieści autobiograficznej „Moja młodość”.

Książka „Moja młodość”, właściwie nie jest jeszcze gotowa. Dziwi się, bo książka ukazała się już w wielu językach, m. inn. także po polsku. Mimo sukcesów i nagród — nie jestem jeszcze zadowolony z tej książki. Bywają pisarze, którzy nigdy nie zmieniają raz napisanych książek, bywają tacy, którzy przy każdym nowym wydaniu wprowadzają zmiany. Należą do tych ostatnich. Mimo mego wieku uważam siebie wciąż jeszcze za ucznia, uczyć się i chce się uczyć aż do końca mego życia. Uważam, że czytelnicy powinni korzystać z tego — a więc chcę przy nowych wydaniach dawnych moich książek wprowadzić poprawki i uzupełnienia.

W „Mojej młodości” opisałem moje życie do końca pierwszej wojny światowej. Praca nad tomem drugim, zatytułowanym „Mannesalter”, jest na ukończeniu. Tom ten obejmuje okres od 1918 do 1924 roku i ukazuje w szczególności wielkie bitwy klasowe w Zagłębiu Ruhry.

Alle to nie wszystko. Pracuję jeszcze nad dwiema powieściami. Dziwi się, że robię tyle na raz? Cóż — mam już 62 lata, w tym wieku trzeba się śpieszyć. Uważam za swój największy obowiązek pokazać naszej nowej młodzieży zarówno piękne, jak i smutne karty historii niemieckiego ruchu robotniczego. Dlatego piszę dalszy ciąg mojej powieści „Kumiaki”, którą polscy czytelnicy także już znają. Przypominacie sobie może, że „Kumiaki” kończą się wyjazdem Piotra do Holandii. Tom drugi pokazuje powrót górnika Piotra Kumiaka, (który oczywiście także w Holandii szczęścia nie znalazł), do Zagłębia Ruhry i jego dalsze losy w okresie 1925 — 34. Piotr Kumiak staje się z biegiem lat cichym, sumiennym funkcjonariuszem partyjnym, jednym z licznych nieznanych bohaterów Komunistycznej Partii Niemiec.

Praca nad drugim tomem „Kumiaków” jest na ukończeniu. O ile starczy mi czasu i siły — napiszę może jeszcze kiedyś tom trzeci, który pokazuje dzieje rodziny „Kumiaków” w naszych czasach, w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Alle to już plany na dalszą przyszłość.

A tymczasem dzisiejsza rzeczywistość w Niemczech domaga się natychmiastowego literackiego odzwierciedlenia. To przecież sprawa najważniejsza. Dlatego przerwałem pracę nad dalszymi częściami „Mojej młodości” i „Kumiaków” i piszę książkę o budowie wielkiego kombinatu hutniczego, który powstaje obecnie w NRD, koło Fürstemberga nad Odrą. Czy powieść? Raczej tak, ale ze znacznymi partiami o charakterze reportażowym.

Tak więc widzicie, że roboty mam dosyć. Alle praca pisarska, to nie wszystko — dochodzą jeszcze liczne obowiązki społeczne. Nie narzekam jednak; im więcej obowiązków, tym lepiej: nie mam czasu się zniechęcać. Czy wiele czytają? Pisarze chętnie opowiadają, że przez całe swoje życie zawsze dużo czytali. Nie mogę się tym pochłaniać. Wręcz odwrotnie: do trzydziestego piątego roku życia przeczytałem bardzo mało. Górnik w ustroju kapitalistycznym nie ma czasu na czytanie książek. Musiałem potem dużo zaległości odrobić.

Ze znanych mi autorów najbardziej podziwiam Gogola, Czechowa, Dickensa, Prusa, z Niemców — Gotfryda Kellera, z nowszych — Henryka Mann'a, w szczególności jego wielką powieść historyczną o królu Henryku IV. Wymienionych wielkich pisarzy cenię i podziwiam, ale jest jeden, którego kocham, który jest dla mnie niedoścignionym wzorem, którego chciałem osobiście poznać — i to marzenia moje nieśliczne, nie spełniły się — pisarz, o którym codziennie myślę, którego codziennie czytam, jeden z największych wśród wielkich: Maksym Gorki.

Rozmowę przeprowadził
Marceli Ranicki

WANDA KARCZEWSKA

ROSNA NOWI PISARZE



Kilka dużych bloków wyrasta centralnie w środku miasteczka — kilka czteropiętrowców zamyka horyzont, nie, raczej opiera się o lesiste wzgórze, pod które podchodzą Partizanskie.

Cóż to takiego? Miejscowość leżnicza? Bogate letniskowe miasto — uzdrowisko? Nie, to po prostu osada robotnicza, nowoczesne miasto, w którym żyją i mieszkają pracownicy, zatrudnieni w tutejszych fabrykach ołowia.

Zajeżdżamy przed Spółeczny Dom, rozstasowujemy się w pięknym robotniczym hotelu o pokojach wyposażonych we wszelkie dogodne higieniczne urządzenia: łazienki, natryski; w pokojach dywany, nowoczesne meble. Schodzimy do restauracji, kawiarni. Wszędzie ruch, wszędzie młode twarze. Większość mieszkańców Partizanskiego, to rzeczywiście dziewczęta i chłopcy, lub młode małżeństwa, obdarzone licznymi dziećmi, których ewangelizację rozlega się w ogródkach i zieleńcach.

Te wille, jedno i dwurodzinne — to ich „luksusowe” dwu i trzypokojowe mieszkania; wielkie bloki na skraju miasta to fabryki, szkoły i internaty dla uczniów, szkolących się w obuwnictwie w tutejszych fabrykach. Śród nich znajduje się 40 chłopców z Polski, przybyłych na dwuletni kurs do Partizanskiego. W centrum miasta — korty tenisowe, boisko, plac zabaw, coś w rodzaju „wesołego miasteczka”. Tuż na skraju osady budujący się basen kąpielowy.

Pokazując nam to wszystko referent kulturalny, Paweł Kapusta, do niedawna robotnik tutejszych zakładów przemysłowych, w których przedterminował cztery lata; chodzi z nami także Bożena Mistriková, robotnica, dziś redaktor czasopisma „Przodownik”. Oboje nadto prowadzą tutejsze koło literackie przy Klubie Fabrycznym Partizanskiego. Kapusta pisze małe opowiadania i nowele, Mistriková — wiersze.

W przeciwieństwie do Pawła Kapusty, któremu uśmiech prawie nie

schodzi z twarzy, Mistriková jest raczej poważna i skupiona. Mistriková prawie nie umie się uśmiechać. Alle jest w twarzy tej młodej dwudziesto-trzyletniej dziewczyny, w jej wielkich oczach i wyrazie za dużych nieco ust coś niesłychanie pociągającego i przekonywującego. Tę twarz można zapamiętać i przywołać potem po miesiącach, gdy wpadnie człowiekowi do ręki jej życiorys, zamieszczony w pokojowym almanachu pisarzy robotniczych Partizanskiego. To chłopie dziecko przyniosło ze sobą na świat poczucie poezji i tęsknotę do niej. Już w szkole ludowej zatapiało się w książkach, już w dzieciństwie „o wierszyki sa zaujmalo”. Tęsknoty dojrzewały — „luźby zrezy zrezy”. Ojca nie znano od małego, matka zmarła — gdy Bożena miała lat kilkanaście. Poszła więc Mistriková do fabryki. Pisać jednak nie przestała. Wiersze swoje drukowała w miejscowej gazecie, a sama stała się redaktorką „Przodownika”. Pisz dalej, uczy się także grać na skrzypcach. Razem z Kapustą prowadzi koło literackie.

W odwiedzinach do tego właśnie koła przyjechaliśmy. Lokal jego, mieści się w Domu Spółecznym, jak zresztą innych kół Klubu Fabrycznego. W dzień jest tu prawie pusto, za wyjątkiem czytelników i biblioteki, gdzie znajduje się ponad osiem tysięcy dzieł literatury słowackiej, czeskiej i obcej. Czytelnia pism, dla zwiększenia frekwencji, połączona została z kawiarnią, podobnie, jak nasze polskie „Domy pracy i książki międzynarodowej”. Dom jednak zaczyna właściwie żyć wieczorem. Po zmroku rozbiłują wszystkie okna, wszystkie „kroužki” czyli koła: teatralne, literackie, samokształceniowe, plastyczne, fotograficzne, ideologiczne i t. p. zaczynają pracować.

Nasza rozmowa z młodymi adeptami literatury przeciąga się do późnej nocy. Młode robotnice i robotnicy proszą, aby przeczytać im kilka swoich wierszy. Słuchają uważnie, rozumieją prawie wszystko. Potem padają pytania, wśród których pojawia się jedno

Z podróży po Czechosłowacji*)

Na naszych polach nie ma miedzi,
szerokie będą łany,
traktoy przeszły dziś przez wieś,
miedze są zarośnięte.

Ileż to pracy było, słów,
twarda jest chłopska głowa,
jakby żelazo kował kuli
i w ogniu je hartował.

Jakby zasiane ziarno zbóż
pokryły w zimie śniegi,
jakby się rozlał ogrom wód
przez dwa rozległe brzegi.

Wyrosły z ziemi kielki ziarn,
most nowy brzegi spoili,
wykuty już z żelaza pług
na wiejskim rynku stoi.

Dla wszystkich ziemia rodzi plon,
a słońce — jedno ciepło,
człowiek dając człowiekowi dłoń
łagodnie się uśmiechnął.

Maria Duszakowa

przekład W. Karczewskiej

nieodłączne: jak pisać? Tak samo zapewne pytali swoich słowackich pisarzy, którzy tu byli przede mną: Bendová, Karvasza, Minacza, Tatarák, Szitnickiego, Lajczaka, Krahlika. Tak samo będą pytać tych, którzy przyjadą po mnie. Tak samo każdy z nas zapytuje sam siebie.

Mówimy o tym, ile daje każdemu z nas czytanie dzieł wielkich pisarzy, dobrych powieści, nowel, wierszy. Padają nazwiska: Hviezdoslava, Mickiewicza, Puszkina, Majakowskiego.

Zaspiając tej nocy, mam długo pod powiekami widok tego miasta i twarze tych ludzi. Co z nich będzie? Czy Mistriková będzie poetką? Niedługo z prozaikiem Pawłem Kapustą jedzie do Bratysławy na obrady Sekcji Młodych Pisarzy, gdzie ma się odbyć dyskusja nad jej wierszami. Nad jej przyszłością — powiedzmy — bo to tyle samo znaczy. Potem w parę miesięcy dowiemy się, że literaci bratysławscy znaleźli w jej próbach poetyckich dużo świeżości i prostoty, co przy jej żarliwości ideowej i szczerości uczuć jest zapowiedzią talentu. Życzmy jej szczęścia, tego, które dać może stałe wzrastający rozwój, pogłębienie się — twórcza praca w umiłowanym zawodzie.

Alle co będzie z innymi? Nie tylko z tymi z osady Partizanskiej? Ze wszystkich Klubów, rozsianych gęsto przy ośrodkach przemysłowych Czechosłowacji.

To pytanie zadaje sobie nie tylko ja. Mają je na ustach także starsi, doświadczeni pisarze, którzy dobrze znają trud drogi pisarskiej, jej zawody i gorzkość. Czy ten etap spieszego dopełniania szeregów artystów nie będzie tylko pomyłką kulturalną, wynikającą z niecierpliwości, z nieumiejętności czekania, aż z synów chłopskich i robotniczych, przed którymi otworzyły się dziś bramy wyższych uczelni, akademii sztuki, konserwatoria, wyrosną przyszli artyści, następcy wielkich ludowych pisarzy, malarzy, kompozytorów: Nerudy, Alesza, Smetany?

Te jednak wątpliwości zdaje się rozpraszac i organizacja kadr początkujących pisarzy, i sposób użytkowania wyszkolonych ludzi, i już dziś zarysowujące się rezultaty tej walki. Tak np. w r. 1950 Związek Pisarzy Czeskich ogłosił głównie wśród pracujących tak wsi, jak i miast, konkurs na prace literackie. Napłynęło ich siedemset. Trzydziestu pięciu autorów najlepszych utworów, zdradzających talent lub niewątpliwie zdolności, zaproszono na trzytygodniowe szkolenie zawodowe do siedziby pisarzy czeskich, na zamek Dobruška pod Pragą. Wykłady dla tych ludzi, wśród których znaleźli się w większości robotnicy rolni i przemysłowi, mieli najwybitniejsi pisarze i uczeni: Majerova, Pujmanova, Nezval, Drda, Rzezac, prof. Sztefl, prof. Travnicek i in. Po trzech tygodniach wszyscy ci ludzie wrócili do pracy w swoich zawodach: do fabryk, do spółdzielni produkcyjnych. Związek Pisarzy ma bowiem za zasadę nie wyrwać tych ludzi z życia, z ich środowiska i miejsca pracy. Opiera się na przesłance, że np. dobry czy wybitny pracownik fabryki jest znacznie użyteczniejszy niż przeciętny czy zły pisarz. Będą więc jednak talentem przychodzić się tu z pomocą. Na okres przygotowywania do pracy, czy pisania, otrzymują płatne urlopy, dostają stypendia, pobytu w domach pracy. Ułatwia im się drukowanie. Początkujący pisarz ma do dyspozycji dwutygodnik „Nova smiena” z kregiem redakcyjnym, złożonym ze starszych, doświadczonych kolegów, którzy pomagają rosnąć nowym talentom. Dla zaczynających pisarzy otwarte są również łamy dziennika społeczno-literackiego „Lidove Noviny”, obecnie „Literarni Noviny” oraz szpalty miesięcznika literackiego „Novy zivot”. Ponadto wydawnictwo Związku Pisarzy „Czeskoslovensky Spisovatel” uruchomiło specjalną edycję książkową „Nova smiena”, w której ukazują się książki początkujących.

Jakie rezultaty dała ta cała praca, którą objąć można nazwą „walka o nowe kadry pisarskie”? Otóż dwie trzecie z owych dobrzych słuchaczy — stwierdza prasa literacka — wyraźnie się rozwija. Dzieciwici zaś z nich wydało swoje pierwsze książki. Otto Ježek, 50-letni robotnik, tom wierszy p. t. „Chvalcie tę ziemię!”, pracuje nadal w fabryce. Jerzy Havel, który w ub. roku był w Polsce na wymianie kulturalnej, wydał po pierwszym zbiorze „Droga wzwyż”, drugi tomik „Z miłości do życia”. Krytycy stwierdzają szybki rozwój, jaki przechodzi ten pisarz. Szesćdziesięcioletnia robotnica rolna Franciszka Semerakova wydała wiersze w zbiorze p. t. „Słoneczny dzień”. Pisała od dziecka; jako uczennica ludowej szkoły wydawała przyjeżdżających do niej wsi wybitnych pisarzy i poetów XIX wieku J. V. Sládka, A. Jiráskę, F. X. Szálę. Zamiast opowiadać swoim dzieciom bajki, mówiła im wiersze, Nerudy, Sládka, Erben, a potem swoje. Nie liczyła nigdy na to, że to jej pisanie ujrzy kiedyś światło dzienne. Nie — Czechowi, nie znającemu dobrze ludowej poezji czeskiej, trudno jednak ocenić twórczość Semerakovej. Opowiadania wydał 40-letni Jerzy Hadravský, zecer, dziś redaktor dziennika w Karlových Varách; wiersze wydała także Maria Kratochvilová; robotnica; obecnie Funkcionariuszka polityczna w tej fabryce, gdzie pracowała nim dostała się na Dobrušku.

Najciekawszym jednak zjawiskiem w tym ruchu jest postać Marii Duszakowej, 48-letniej robotnicy rolniej. Wiersze jej mają w sobie coś z poezji ludowej, czescy pisarze widzą w nich świadome nawiązanie Duszakowej do tradycji Sládka i największego z postępowych pisarzy drugiej połowy XIX w., Jana Nerudy, umiłowanego poety Juliusza Fuczika.

Marię Duszakową poznałam na uniwersytecie praskim, na wieczorze autorskim grupy pisarzy, gdzie występowała ona obok tak wybitnych autorów, jak Maria Majerova, Milan Jaris i in. Polem spotkałam ją na zamku Dobruška. I trudno mi zapomnieć nieśmiałość, a pełną jakiegoś wewnętrzznego żaru twarz tej czterdziestoosmioletniej kobiety. Bieda pozwoliła jej skończyć tylko dwuklasową szkołę wiejską, ale — jak sama mówi w wierszu do Bożeny Niemcowej — całe życie jakaś niezapokojona tęsknota tkwiła w niej, jak kryształ więziony w kamieniu, a była tylko trawą, po której wszyscy deptali. Teraz Maria Duszakowa siedzi pochylona nad biurkiem w pokoju wspaniałego zamku Dobruška, jednego z tych, jakie powstały z trudu i potu takich właśnie ludzi, jaką była ongi Duszakowa, robotnica, dziś poetka ludowej Czechosłowacji.

Taka jest mniej więcej droga pisarzy robotniczych, wyrastających z tej czeskiej walki o nowe kadry. Podobnie jak Duszakowa, tak i Maria Kratochvilová, drogą awansu społecznego przeszła ze stanowiska robotnicy na pozycję działaczki politycznej w tej samej fabryce, gdzie poprzednio pracowała. Tak jest z młodym Jerzym Binkiem, choć ten przeszedł nieco odmienną ewolucję: z urzędu odszedł w r. 1945 do fabryki w Brnie, gdzie po kursie w Dobrušce, stworzył najlepszy w całej republice robotniczy klub literacki, liczący 15 obiecujących talentów.

Pisarz robotniczy staje się więc działaczem kulturalnym w swoim terenie; prowadzi kluby, koła, pracuje w towarzystwach oświatowych, koordynujących na wsi kulturalną pracę organizację masowych. Jego zdolności użytkowe są społecznie w działaniu oświatowe; jego zapal i zamiłowanie wszczepiają w środowisko zainteresowania kulturalne, pobudzają zdolną młodzież i popychają w takim kierunku, w jakim on w swoim czasie nie mógł iść, aby dziś być pełnowartościowym pisarzem: w kierunku nauki, studiów, szkół, kursów, które istotnie potrafią wytworzyć przyszłych pisarzy — nauczycieli narodu, pisarzy — inżynierów dusz.

Wanda Karczewska

*) Z książki pt. „Z kraju Juliusza Fuczika” przygotowanej dla „Czytelnika”.

JANINA BRZOSTOWSKA

MÓWIMY O KONSTYTUCJI

Mamy radzić nad tą wielką Kartą,
Nad projektem Konstytucji:
Każde słowo jej, wrogom wydarte,
Nowego życia nas uczy...

Daje prawo do pracy:
Pamiętajsz bezrobocie, gdy głód ścisnął gardło?
Kiedy bogacz na bruk wyrzucał,
Bo pieniędzy na komorne zabrakło?
Wiejskie drogi wszędy i wzdłuż przemierzane
Przez zmęczone, bose stopy...
I wędrowki za pracą, za chlebem,
Po gościńcach całej Europy...

Młodym podaje zdrowy owoc
Jak drzewo, jak gałęzie drzewa...
Wiesz, że po pracy możesz spocząć,
Bo chroni, karmi i odziewa...

Starym na radość, że i oni
Dni doczekali odmienionych,
Ze się przed wzrokiem ich odsłonił
Nowego życia obraz czysty...

Matce, pochylonej nad dzieckiem,
I górkom, i kaszubkom z nad morza
Zamyślonej chłopce mazowieckiej,
Jasna z karty tej świeci zorza:

O, pomyśl, ile krwi przelano
Byś mógł tę kartę wziąć do ręki...
Jej rodowodem dumne słowa
„Wykłępy powstań ludu ziemi!”

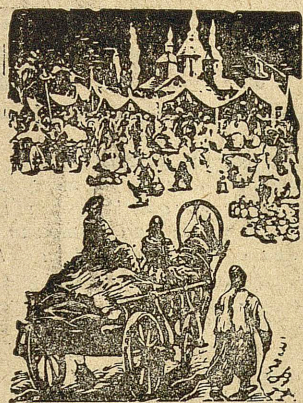
Rewolucyjne są jej słowa
A w każdym promieniu słońca żywy —
Bo każde myśla wielką, mądrą,
Pragnia ażebyś był szczęśliwy!

Tej karcie naszych rąk potrzeba
Naszego serca dla obrony —
A zająśniejce całym pięknem
Przez zawiśniętych wrogów niezmąconym!

Weź ją i ponies swoim bliskim,
I towarzyszom, i gromadzie —
Niech pokochają sprawiedliwość,
Której drogami nas prowadzi!

ANDRZEJ WALICKI

Mikołaj Gogol



CZWARTEGO marca 1952 r. mija 100 lat od śmierci Mikołaja Gogola, pisarza, który wg. słów wielkiego krytyka — Bielińskiego „potrafił pierwszy odważnie i prosto spojrzeć na otaczającą go rzeczywistość rosyjską”.

Do realizmu krytycznego, jako podstawowej metody twórczej doszedł Gogol nie od razu — pierwszy jego zbiór opowiadań — „Wieczory na chutorze koło Dikanki”, nosi na sobie bardzo wyraźny jeszcze nałot romantycznej fantastyki. Realizm tych opowiadań, zjednoczonych w całość przez osobę naiwnego narratora — pszczelarza, Rudego Pańka, to jeszcze tylko realizm szczegółu, opisu i poszczególnych obrazków rodzajowych. Skrajnie wystudiowana prawda o obyczajach i folklorze ludu ukraińskiego przeplata się tu z fantastyką, życie codzienne z romantyką i legendą. Wieszniacy gogolowscy tańczą, śpiewają, oszukują diabłów, prowadzą układy z ruskami — nie przemawia jeszcze przez nich Gogol realista, groźny demaskator współczesnej biurokratyzacji — pańszczyźnianej rzeczywistości rosyjskiej, z jej zasadami „prawostawia, samodzierżawia i na rodowodu” (tj. nacjonalizmu). Nie przypadkowo natomiast wątki tych opowiadań tak chętnie wykorzystywane były i są przez opery — tyle w nich śpiewu, tańca, ujmującej, ludowej fantastyki i barwnego, ukraińskiego koloru.

Dzięki tym właściwościom od razu zdobył sobie Gogol imię w literaturze rosyjskiej. Wspominając pierwsze wydanie „Wieczorów” (1831, 1832) Puszkina pisał: „Czytelnicy nasi pamiętają z pewnością wrażenie wywołane pojawieniem się „Wieczorów na chutorze”: wszyscy uradowaliśmy się tym żywym opisaniem plemienia śpiewającego i tańczącego, tymi świeżymi obrazami malarzowskiej przyrody, tą wesołością prostoduszną i zarazem chytrą”.

Następny chronologicznie tomik Gogola — „Mirgorod” (1835) wykazuje nową, wyższą stopień rozwoju pisarza. Gogol porzuca maskę dobrodusznego, pocziwego narratora „Wieczorów”. Rudego Pańka, i występuje we własnym imieniu, jako pisarz-satyryk, odnajduje swą drogę „poety rzeczywistości”, „pustej, znikomej w całej jej nagości, w całej jej zadziwiającej szkaradzie” (Bieliński). „Prostoduszną wesołość”, „Wieczorów” zastępuje „humor groźny”; „bije on z rozmachem, chłosta na prawo i na lewo swym biczem”, „humor gorzki, jadowity, bezlitosny” (Bieliński). Jednym z najcharakterystyczniejszych opowiadań „Mirgorodu” jest „Opowieść o tym, jak się pokłócił Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem”. Brzydota, płaskość i małostkowość życia prowincjonalnej szlachty, budzącego wstręt wykiwu pańszczyźnianej rzeczywistości, uderzająca typowość obrazów, podkreślona końcowym uogólnieniem „nudno jest, pro-



„Opowieść o Iwanie Iwanowiczu...”
A. Bubnowa (akwarela)

szę państwa, na tym świecie” — sprawa, iż ta pozornie „beztrosko - humorystyczna” opowieść — wstrząsa. Tematycznie wydziela się z „Mirgorodu” powieść o bohaterstwie przeszłości kozackiej — „Taras Bulba”. Świadczy ona, iż poza gnuśnym światem „staroświeckich ziemian” i „dwóch Iwanów” widział Gogol, jak wielkie siły moralne, jak wielkie możliwości bohaterstwa kryją się w ludzkiej naturze, dawione i przytłaczane przez kaleczącą człowieka i zabijającą w nim godność ludzką rzeczywistość pańszczyźnianą.

Reakcyjna prasa, zaniepokojona bezlitosną krytyką rzeczywistości, pośpieszyła napiętnować opowieści Gogola, jako „trywialne”. „Pszczola Północna”, organ carskiego szpiega, Bułgarina, oburzała się: „Po co przedstawiać nieprzyjemne obrazy zaskulowego podwórka życia i człowieczeństwa”. Walkę o Gogola podjął Bieliński — w traktacie krytycznym „O rosyjskiej powieści i powieściach Gogola” pasował on Gogola na następcę Puszkina, twórcę nowego, realistycznego i krytycznego etapu rosyjskiej literatury. Traktat ten wywarł na Gogola wielki wpływ, uświa-

domił mu jasno jego powołanie artystyczne.

Uwaga krytycznego realisty koncentruje się konsekwentnie na głównych podporach biurokratycznego imperium szlacheckiego — na obszarach i urzędniku, na sprzecznościach wsi i na sprzecznościach miasta. Odtworzeniem tych ostatnich są „Opowieści petersburskie”. Atmosfera urzędniczej, oficjalnej stolicy cesarstwa wywarła na Gogola przytłaczające wrażenie. „Cisza w nim (tj. w Petersburgu) — pisał do matki — niezwykła, żaden duch nie ożywia ludu, wszyscy pełnią służbę lub obowiązki, wszyscy rozmawiają o swych departamentach czy kolegiach, wszystko zdławione, wszystko ugrzęzło w błahych, znikomych sprawach, w których beznadziejnie wyczerpuje się ich życie”. Prawdę o życiu stolicy ukrywa blichtr, zewnętrzny, ludzki blask arystokratycznego Newskiego Prospektu. „O, nie wierzcie Newskiemu Prospektowi!” — woła Gogol w opowiadaniu pt. „Newski Prospekt” — „Wszystko to złudzenie, mrzonka, pozór! Ten Newski Prospekt kłamie o każdej porze!”

Jednym z najbardziej artystycznie dojrzałych i najcharakterystyczniejszych opowiadań Gogola jest niewątpliwie „Szynel”. „Szynel” to jeden z najwybitniejszych przejawów szarokiego nurtu w literaturze rosyjskiej, biorącego w obronę „małych ludzi”, „poniżonych i skrzywdzonych” w ustroju nierówności społecznej i hierarchii rang — nurtu, wywodzącego się z puszkowskiego „Pocztmistrza”, a po Gogolu rozwiniętego przez Dostojewskiego i Turgieniewa. Urzędniczy, Akakiusz Akakiuszowicz to właśnie taka zakleńniona, „przez nikogo nie obroniona, nikomu nie droga, nie zwracająca na siebie nawet uwagi przyrodnika” istota, zahukana, drżąca przed moznym tego świata. Akakiusz Akakiuszowicz to żalony potworek, niezdolny do buntu, pozbawiony nawet poczucia własnej godności. Jego jedyną ludzką cechą jest cierpienie.

„Akakiusz Akakiuszowicz”, „Pocztmistrz”, „Mumu”, i wszyscy inni poniżeni i skrzywdzeni — pisał Gorki — są zastarzałą chorobą rosyjskiej literatury, o której powiedzieć można, iż w większości wypadków uczyła ona ludzi przede wszystkim sztuki życia nieszczęśliwymi... Jestem starym wrogiem cierpienia, fizycznych i moralnych”. (...) Cierpienie trzeba nienawidzić i tym tylko można je znieść. Cierpienie unia człowieka, istotę wielką i tragiczną”.

Gorki bardzo surowo wskazał na słabą stronę wielkiego humanizmu Gogola i całej literatury ludzi „skrzywdzonych i poniżonych” — był to humanizm współczucia, a nie humanizm walki, humanizm pasywny, nie wzywający do buntu.

Najwyższym punktem działalności komediopisarskiej Gogola jest niewątpliwie „Rewizor”. W „Spowiedzi

CZESŁAW SCHABOWSKI

..., „Jak Ludwiczak na kocie”

W okolicy Sobieszowa obito mi się o uszy takie przysłowia: „Zarobił jak Ludwiczak na kocie”. Łatwo było się domyślić w tym nowym porządku parafrazę znaną przysłowia: „wyszedł jak Zabłocki na mydle”. Etnografem nie jestem, a jednak zdjęła mnie ciekawość. Gdzie się pojawił, tytułem o znaczeniu i pochodzeniu tego przysłowia. Wnet też dostrzegłem, że słuchają ono i kulakom i biedniakom. Bogacze przygadywali, że taka to była historia z „dziadem”, bo taki nawet na kocie zawsze straci. Mafolnoli na prawdy mówili, że wyrażniejszy ślad. Zaczynali wyjaśnienia od końca, który znowu kulacy przemielali. Mianowicie, miał jakiś chłop w jakiejś spółdzielni produkcyjnej, już jako członek zespołu, opowiedzieć, jak to go kulak przeszedł wojną w jego rodzinnej wsi orzwał nawet na kocie i facceta ta, tak przypadła chłopom do gustu, iż zamiast o Zabłockim i mydle gada się teraz w sobieszkowskich stronach o Ludwiczaku i kocie.

A gdzie sam Ludwiczak, autor i bohater przysłowia?

Gdzieś w okolicy, w tutejszym powiecie, ale on sobie, a jego historia sobie. Przysłowie krąży z ust do ust, a Ludwiczak okopał się w którejś z kilkudziesięciu spółdzielni. Szukaj go teraz...

Znalazłem. Sięgnęłem do głowy po rozum i przejrzałem w powiecie sprawozdania ze spółdzielni. Jeśli ten Ludwiczak odważył się opowiedzieć o tym, jak był głupi i uległy przed wojną, to znaczy, że teraz ma rozum i poważanie. A w takim razie, gdzie go wymienią wśród przodujących. I rzeczywiście. W Marczycach największą dniówkę obrachunkową wypracował... Ludwiczakowie.

W Marczycach nie stary Ludwiczak, ale jego żona opowiedziała mi, jak to niegdyś „zarobił na kocie”.

— Kurowski, bogacz nasz sąsiad był tak skąpy, że nawet kota nie chował w domu, uważając, że przed myszami obronią ziarno dobre zamki i masywnie saski. Ale i na niego przyszła kreska: skrzywdził jakiegoś biedaka i tamten nałapał mysz, podchowal je, poczekal aż zgubił od pomiotu i nocą puścił je przez komin do chałupy Kurowskiego.



autora” pisał o nim Gogol: „Jeśli się śmiać, to lepiej już wyśmiewać to, co istotnie godne jest ogólnego wyśmiania. W „Rewizorze” zdecydowałem się zebrać razem wszystkie zło w Rosji, jakie wówczas znałem”.

Wątek komedii, podsunięty Gogolowi przez Puszkina, jest prosty. Chłestakow, „młodzieniec z lekka głupek i jak to się mówi, bez piątej klepek w głowie”, wzięty zostaje w prowincjonalnym miasteczku za reżysera, incognito ze stolicy. Klan czynowicz miściny z horodniczym (burmistrzem) na czele usiłuje przekupić go, obnażając przy tym, mimo woli, cały beznamiętny „grzeszków”, lub raczej grubych łajdaków. Rodzina horodniczego zastawia nawet na Chłestakowa grubo plecione sieci matrymonialne. „Komedia pomyłek”, zataczających coraz szerszy krąg,



Soroczyński jarmark

Wg rys. Ilji Repina (ok. 1870)

gaczem i zrobić se wroga z takiego setnego morgowca? Gotów wygłodzić, na złość i to przez niedną kocurę. Mój wreszcie mówi: „Bierzcie kota na dwa tygodnie, ale za jeden dzień odrobku”. Tamten zaś półtora i ani rusz. Pomyśl pan, jakieśmy byli niewolniki.

W taki to sposób stary nasz kocur, zwany przez dzieci Powsipęda — został też wprzagnięty w pańszczyźnianą odrobki u Kurowskiego. Kiedy zaś nasz bledny Powsipęda odważył swoją kocą powinność, wziął go Kurowski na ręce i odnosi. A po drodze znowu kombinuje: „Taka kocajucha przez dwa tygodnie przyzwyczaił się do śpijcherza i teraz będzie wracał na moje obejście, będzie kocia-wiara miauczał pode drzwiami, drapać i kto wie co jeszcze...”

Wziął bogacz kawał postronka, namoczył go w gnojówce i tak wyłożył biednego Powsipędę, że kocina nie mogła się podnieść godzin coś ze trzy, a potem czołgał się tylko na przednich łapach, cały zbity pośladkiem wlokąc za sobą.

Dojrzał go zza ploty stary chwielec Kurowski i rozsierdzony wrzasnął: „Co za podła gadzina! Takie wały spuściłem, a on wraca do mnie! E, nic, tylko trza go na amen wykończyć, bo inaczej nie opęde się od wszystkich wsiowych kotów, których by mi ten włóczydupa jutro przywiodł”. I orczykiem dobił Powsipędę. Potem przetrzął go przez plot na nasze obejście i spokojny poszedł do domu. Ale za chwilę pomarkował, że i na śmierci naszego kota może zarobić, przychodzi więc do swojego, który o niczym nie wie i tak mówi: „Wicie co, kumie kumoterku, że ten wasz kot niezdarny do łapania myszów, ale że mi was żal i szkoda bardzo, mogę go wziąć do siebie na dożywocie, tylko nie darmo... Ile na ten przykład może wasz kot pociągnąć, co?”

Pomarkował mój, że Kurowski chce znowu wyludzić od nas parę dni roboczych, inaczej tamten nie zaczynałby, więc rzecze: „Chyba że dwa roki... Nie więcej...”

— Też pleciecie koszalki-opałki! Dwa roki! Nie jednego jeszcze szczeniaka przylej! Powiedzieć mi: sporo was kosztuje utrzymanie i wiktowanie takiej gadziny?”



Rys. B. Kusak

Mój podskoczył jakby go ukropem polat. „Czyscie się wściekli! A to janykryst pieroński, nie dość, że mu kot chatupie oporządki, to jeszcze chce doplaty!” A tamten złodziej gada: „Jak się nie zgodzicie, to koniec z naszymi rachunkami!”

— Dawajcie kota nazad i idźcie se do diabła!”

Kurowski zaś: „Zobaczmy na przedmoku”.

Przestraszyliśmy się. Zadrzczyć bo-

puszczał początkowo nawet myśli, iż ostrze satyry Gogola uderza „obiektywnie w niego samego, w samą istotę reprezentowanego przezeń systemu. Inni współcześni nie byli jednak tak naiwni. Bieliński od razu zrozumiał obiektywną wymowę ideologiczną „Rewizora”: przodującą młodzież studencka uczyła się na pamięć całych scen z komedii. Głos triumfującej reakcji natomiast napiętnował „Rewizora” jako „oszczerstwo na Rosję”. Koryfeusz reakcyjnej krytyki — Bułgarin, Sienkowski i Grec zgodnym chórem napadli na autora „głupiej farsy”. Pewien arystokrata radził wysłać Gogola „w kajdanach na Sybir”; ktoś inny wyrażał: „gdym miał władzę, u mnie by autor ani pisał!”. Wsadziłbym go w takie miejsce, skądby i świata bożego nie dojrzał!”.

„Wszyscy przeciwko mnie — pisał rozgoryczony Gogol. — Czynnicy tłuści i szacowni krzyczą, iż nie ma dla mnie niczego świętego, skoro ośmieliłem się mówić w ten sposób o ludziach na służbie. Policjanci przeciwko mnie, kupcy przeciwko mnie, literaci przeciwko mnie... Teraz dopiero widzę, co znaczy być komediopisarzem. Najmniejszy znak prawdy i — powstają przeciwko tobie, nie jeden człowiek — a całe warstwy”. Dzisiaj możemy uściślić — nie warstwy, a klasy. Reakcyjna nagonka zmusiła Gogola do czasowego opuszczenia Rosji. Odsuwany przez swoich reakcyjnych „przyjaciół” od Bielińskiego i reprezentowanego przezeń obozu postępu społecznego, doszedł Gogol do niesłusznych wniosków, iż całe społeczeństwo rosyjskie nie do końca do rozumienia literatury, „Smutno, gdy patrzysz w jak żalosnym położeniu znajduje się u nas pisarz” — pisał w jednym z listów.

„Za granicą dojrzał plan przeróbki „Rewizora”. Nie posłał jednak ona w kierunku ustępstw. „Spośród wszystkich sądów” — pisał Gogol — „bałem się tylko jednego — i sądził, że byłem ja sam”. Przeróbka „Rewizora” wzmacniała jeszcze demaskatorski patos komedii. W zakończeniu pojawiły się słowa, wypowiedziane przez horodniczego bezpośrednio pod adresem publiczności: „Z czego się śmiejecie? Śmieciecie się z siebie samych”.

„Po „Rewizorze” — pisał Hercen — „zwrócił się Gogol w stronę szlachty folwarcznej (...). Dzięki Gogolowi ujrzeliśmy ich w końcu, jak wychodzą ze swoich dworów i domów, bez maski, bez upiększeń, wieczne pijani i obżarający się; niewolnicy władzy bez godności i tyran bez współczucia dla swych pańszczyźnianych, wysysających życie i krew ludu z tej naturalności i natężenia, z jaką „niemowlę” wamni się pierśnią swej matki”. „Martwe dusze” wstrząsnęły całą Rosją”.

Podobnie jak wątek zasadniczy „Rewizora”, wątek „Martwych dusz” podsunięty został Gogolowi przez Puszkina. Jest on również prosty — sprytny oszust, Cziczikow, skupuje „martwe dusze” tj. chłopów, którzy

Mój zaczyna kolować. — Pewnie, zawsze kosztuje!... Chleb, mleko... Kurowski w trzymiga łapie moment i gada: „To już strapienia z nim mieć nie będziecie, tylko zrobmy umowę: ja waszego kota, całe jego żywobycie nakarmię, odzję...”

„Dyć on przydziewku nie potrzebuje!” — załamałam ręce. — „Prawda... myślałam kumie kumoterku, że pastucha godzę... No to tak będzie, ja go do śmierci wykultuję, a wy mi za to odrobicie tygodni... jeden mały tygodniaczek, kumie kumoterku, co? Zgoda? Wajnijmy łapa w łapę i podpiszemy papierek, żeby była taka zgoda, jak żelazny język i mosięzna broda!”

Jacyśmy byli durnie, o Jezul! Mnie zaczęło się zdawać, że bogacz nam łaskę świadczy, ale dałam mojemu pod bok kuksańca, żeby się targował, więc tak gada: „Poczekajcie ście, niech se porachuje... Pół kwatki mleka na dzień, to na tydzień zrobi siedem pół kwatek, czyli miesięcznie pół trzydziści. O Jezul, rety, chleba skibka na dzień, czyli trzydziście, a co cztery lata dwadzieścia dziewięć...”

Wtedy ja do mojego Bartłomeja: „Nie gódź się tak górnio, nie gódź! Dyć to straszna sanacja!”

„Ale stary z praktyki wiedział, że z takim złodziejem targ załatwia się przez pół, więc nie chcąc się więcej męczyć rachunkami, rzekł mi: „Trzy dni i choćbyście nas zabili nie zgodzimy się inaczej i ty!”

I tak nas zaklął w capa. „Zgoda!” — kumie kumoterku: mur, beton i skała!”

Wajnijmy łapa w łapę, spisałyśmy umowę i podpisały się na niej: Kurowski okrutnie zmijowałym wykreślał, a mój, prościej: trzema krzyżykami. Dziś już czyta i pisze.

Strasznie się potem Kurowski chwalił na całą okolicę, w jaki to sposób pokoiwał „dziada”. I, mało tego, że nas okpił, to sam to przysłowie o Zabłockim przekabacił na Ludwiczaka...

Teraz to my po wsiach tę historię rozgłaszamy. A tak ją kończymy: chodźcie chłopie do spółdzielni, bo wśród kulaków „zarobisz jak Ludwiczak na kocie”.

Czesław Schabowski



zmarli po ostatniej „rewizji”, lecz oficjalnie zaliczeni są jeszcze do żywych. Właściciele ziemscy muszą aż do następnej „rewizji” płacić za nich podatki; Cziczikow może zastawić ich w banku i otrzymać za nich znaczną sumę pieniędzy. Interes zatem jest obopólny.

W poszukiwaniu „martwych dusz” objężdża Cziczikow okoliczne dwory i poznaje ich mieszkańców. W powieści Gogola przesuwają się niezrównana galeria portretów o oślepiającej wprost typowości — Maniłowowie, Nodriewowie i Sobakiewiczowie to postacie, których imiona reprezentują całe określone kategorie ludzi, imiona-symbole, które do dziś nie straciły swej siły uogólniającej. Za pozornie „bezprensyonalnym, lekkim” śmiechem autora ukrywa się jego wielki patriotyczny ból. „Boże, jak smutna jest nasza Rosja!” — zawołał Puszkina, gdy Gogol przeczytał mu pierwsze rozdziały swej książki. „Wielki, natchniony śmiech” — pisał Gogol — „godzien jest stanąć obok wielkiego gestu lirycznego i całą przepaść dzieli go od grymasów jarmarcznego błazna”.

„Martwe dusze” istotnie „zatrzęsły całą Rosją”. Akcja jej rozciąga się już nie, jak w „Rewizorze”, na poszczególnie miasteczko, lecz na całą Rosję. „Nie było dotąd utworu bardziej ważnego dla społeczności rosyjskiej” — pisał Bieliński. Było to pokazanie w całej ohydzie podstawowych zasad społeczeństwa własnościowego, „roślinnego” pasywnościwa rozkładającego się ziemiaństwa, drapieżnej chciwości, burżuazyjnej „przedsiebiorczości” i cynizmu Cziczikowa.

Podobnie jak „Rewizor”, w reakcyjnych kręgach „Martwe dusze” wywołały całą burzę. „Arystarchowie” rosyjskiej krytyki wylewali swe oburzenie w potokach atramentu, bądź też, jak Sienkowski usiłowali po prostu wyśmiać autora, uciekając się do niegodnych środków, włącznie ze znieszczeniem i fałszowaniem cytatu. Przetwarzając młodzież natomiast „przyjęła książkę z zachwytem” (Akakow). Przetwarzając część społeczeństwa od razu zrozumiała „Martwe dusze”, jako wielki akt oskarżenia, nie poszczególnych przejawów, ale całości, samodzierżawia i, nie wahała się wyciągnąć z niego rewolucyjnych wniosków. Przed wnioskami tymi cofnął się sam Gogol. Tragedia pisarza polegała na tym, iż przy całej ostrości artystycznego widzenia rzeczywistości rosyjskiej nie doszedł on nigdy do przodującej ideologii. Męczył go poczucie „iż pokazał Rosję tylko z jednej strony”, iż pokazał jedynie rosyjskie „piekło”. W dalszych częściach „Martwych dusz” zapowiada Gogol wprowadzenie bohaterów pozytywnych — zamierzona całość rysuje mu się jako trylogia dantejska — „piekło”, „czyszczenie”, „niebo”.

„Pozytywnego bohatera mógł jednak Gogol znaleźć jedynie w obozie przodującej ideologii, w obozie rewolucji. A tam, wskutek swych ograniczeń światopoglądowych, dojrzeć go nie



„Szynel” — Akakij Akakijewicz.
A. Wanieczan (olej 1951)

mógł. Dlatego też całkowicie uzasadnionymi okazały się wątpliwości Bielińskiego: „Wiele, zbyt wiele zostało obiecane, tak wiele, że znikąd nie można wzięć tego, co potrzebne jest do wypełnienia obietnicy (...). Boimy się, by pierwsza część, w której wszystko komiczne, nie stała się, w istocie tragedią, a druga i trzecia część, gdzie występować mają tragiczne elementy, nie stały się komicznymi — przynajmniej w miejscach patetycznych”. Wielki krytyk nie pomylił się. Pisanie zamierzonych, dalszych części „Martwych dusz” stało się dla Gogola prawdziwą męką twórczą. Taki artystyczny nie pozwalał mu tworzyć sztucznych, martwych, „pozytywnych” postaci, których nie dostrzegal w samej rzeczywistości. Drugą część „Martwych dusz” trzykrotnie pisał Gogol na nowo i trzykrotnie palił. Męczyły go przypływy mrocznego mistycyzmu — poczucie grzechu kazało mu potępić swe arcydzieła. Ostatnią swą książką — „Wybrany miasteczko z korespondencji z przyjaciółmi” — przeszedł na pozycję reakcji.

(Dokończenie na str. 7-e)

W o k ó ł p o w i e ś c i B.

„JERZY” NOCHCINSKI

TO I MOJA EDUKACJA

POKOLENIE" Czeski polną-
tem jednym tchem — i wróci-
łem do książki jeszcze parę ra-
zy. Nareszcie powieść, która mówią-
c o czasach walki z faszyzmem nie-
mieckim, umiała w nich dostrzec
„początek edukacji” pokolenia dzi-
siejszych budowniczych socjalizmu
w Polsce, która potraktowała do-
świadczenie tych lat nie tylko z
punktu widzenia walki i jej proble-
mów, ale jako początek wielkiego
przełomu w życiu naszego kraju.

To, co najbardziej pasjonuje w
książce Czeskiej, to obraz wzrostu ide-
owego i moralnego ZWM-owców, któ-
rych od demoralizacji czy od ugryze-
nia w sieciach bojowych organiza-
cji burżuazyjnej uchroniła czujna opieka
Partii. Gdy czytamy o roli, jaką w ży-
ciu Jurka i Stacha odegrał Sekula,
Rodak, czy dowódcy GL-u i starsi ko-
ledzy z ZWM-u mimowolnie muszę my-
śleć o własnych losach. Przy wszyst-
kich rozbieżnościach między szczegó-
łami mojego życia i losami bohater-
ów Czeskiej — ja wychowałem się w
provincialnym środowisku robotni-
czym i walczyłem w oddziałach lubel-
skiej partyzantki — Czesko uchwyci-
ło to co było najistotniejszym
nurtem historii naszego pokolenia
młodzieży lewicowej, że mnie Par-
tia zrobiła człowiekiem i dopomogła
przeżyć uczucie przez piekło zgo-
wane ludziom przez faszyzm, gdzie
zalałymi się tyłu słabych ludzi.

Wychowałem się w Czerwonym Za-
głębiu. Moją szkołą była niedza ro-
dzinny robotniczy — ale i walka pro-
letariatu. O kierunku mojego życia
zadecydował raz na zawsze fakt, że
ojciec mój — aktywny KPP-owiec —
i jego towarzysze rozumieli swój o-
bowiązek oddziaływania na otoczenie
i uświadamiania mu niebezpieczeń-
stwa faszyzmu. Wiedzieli również, że
należy to powiedzieć nawet tak mło-
demu chłopakowi, jakim wówczas ja
byłem, by dać mu na całe życie słu-
żącą normę oceny zjawisk politycz-
nych i moralnych. W ten sposób od
najmłodszych lat życie moje znalazło
się w kręgu oddziaływania świadom-
ego człowieka walczącego proletariatu,
jaką stanowili dawni KPP-owcy Za-
głębia Dąbrowskiego. W iluż momen-
tach decyzji i wyboru życiowego od-
najdywałem w sobie słowa moich
pierwszych nauczycieli — ileż razy
ich przykład pomagał rozwiązać wszy-
stkie wahania i trudności.



Foto Cz. Swirta

Gdy wybuchła wojna, gdy faszyzm
niemiecki ujarzmił nasz kraj, wie-
działem dobrze co oznacza jego pa-
nowanie i co jest podstawowym obo-
wiązkiem proletariatu. Ojciec mój i
jego towarzysze z Sosnowca, Będzina
i Czeladzi zorganizowali sabotaż w
kopalniach i hutach Zagłębia. Zdawa-
li sobie sprawę, że paraliżując spraw-
ność hitlerowskiego przemysłu zbro-
niowego walczą o wolność robotni-
czej Polski, o nowy ład, który obali
wzrost i ucisk wielkiego.

Organizacja rewolucyjna, w której
pracował ojciec zasyłała się — oj-
ciec, wszyscy najbliżsi, ogromna więk-
szość jego najbliższych walczyli z osta-
telnym. Musiałem wówczas prze-
nieść się do „GG” — by uciec przed tro-
piącym mnie gestapo. Proponowano
wówczas przerzucenie mnie na wieś,
gdzie istniałyby tylko możliwości stosun-
kowo pewnego zaskowania się w
dworach czy gospodarstwach kula-
ckich.

Taka przyszłość jednak wcale mi
się nie uśmiechała. Nie chciałem pra-
cować na wyzyskiwaczy. Gdy nie by-
ło już ojca i jego towarzyszy, którzy
stanowili dla mnie wyrocznię we
wszystkich trudnych sprawach mo-
jego młodego życia — postanowiłem
trzymać się „swoich”.

Znalazłszy się w „GG”, zrobiłem
wszystko, co było w mojej mocy, by
dostać się do oddziału AL-u aż na
lubelszczyznę. Tu skończyło się mo-
je sierocino — byłem w domu.

Walcząc w oddziale pod dowództ-
wem „Jastrzębia”, który był także i
naszym najbliższym wychowawcą nie
tylko pogłębiłem swoją świadomość
żołnierza ludowej ojczyzny, uczylem
się też praktycznie o podstawowych
sprawach jej przyszłości.

Tutaj ja, dziecko robotniczego Za-
głębia, syn KPP-owca poznałem spraw-
ę chłopską z różnów z wieloma
chłopami, którzy napływali do AL-u
na lubelszczyznę. Zławsza biedota
wiejska — najczystszy analfabeta
lub półanalfabeta — kipieli nienawis-
cią do faszyzmu i do wysługujących
się im obszarników. Uderzała mnie
niejednokrotnie ich jasna i trafna oc-
ena AK. „Tomasz” — 64-letni
chłop z bilgorajskiego, którego banda
AK-owska zamordowała syna, na mo-

je pytanie czemu tak długo i mozol-
nie przedzierali się do naszego od-
działu, skoro o wiele bliżej i w bilgo-
rajskim i w janowskim są silne gru-
py AK-owskie — odpowiedział mi
stanowczo: „to nie jest nasze, ludo-
we wojsko my dobrze wiemy, jakiej
im się Polski zachciewa, próbowali-
my już, jak to smakuje”.

„U nas na 70 chłopów, co poszli
do lasu, tylko 11 nabrało się na AK-
owców — reszta przyszła do nas. My
ich znamy — z dziećmi się ku-
mają”. Te słowa były dla niego naj-
cięższym oskarżeniem i jednocześnie
wyrokiem na polski faszyzm. Stary,
spracowany chłop dzielił z nami trud-
dy i niebezpieczeństwa partyzanckie-
go życia, kierowany jedną myślą —
„żeby Niemców przegnać i żeby już
sanacja nie wróciła” — swą wiarą w
przyszłość nie ustępował najmłod-
szym i najbardziej zapalonym spo-
ród nas. Tak uczylem się sojuszu ro-
botniczo — chłopskiego.

Mieliśmy w naszym oddziale dwóch
niezwykłych kolegów — ich obecność
ich wspólna walka z nami i szczer-
e koleżeństwo pogłębiło we mnie wy-
niesioną jeszcze z opowiadań ojca
świadomość, że „Niemiec” i „niemiecki
faszysta” to jeszcze nie to samo,
że nie walczyliśmy z ludem niemieckim
a z kliką zbrodniarzy, która lud ten
ujarziła, by zbrudzić jego ręce i
zgubić sumienie”.

Kurta Wernera z Berlina i Hansa
Reimana z Essen młodych niespełna
20-letnich żołnierzy niemieckich spot-
kałem patrolując w nocy wraz z dwi-
ma towarzyszami okolicę, w której
zatrzymał się nasz oddział. Szli, trzy-
mając zatknięte na kijach płachty bia-
łego papieru. Ci dziwni jeńcy, którzy
dostawiali się do niewoli, odczuli-
li z ulgą, że są wśród swoich, byli sy-
namy niemieckich komunistów. Zmobi-
lizowani do armii faszystowskiej, wy-
stąpi do naszego kraju od pierwszej
chwili snuli plany ucieczki.

Wykonać je mogli jednak dopiero
wtedy, gdy oddział ich wysłano do
walki „z komunistycznymi bandytami”.
Kurt i Hans pozostali w naszym
oddziale do końca wojny. W szeregach
Armii Polskiej poszli na Berlin, wy-
zwalając swój kraj z łap faszyzmu. Tak
uczylem się proletariackiego internacjo-
nalizmu.

Doświadczenie lat walki i czujna
opieka ideowa ze strony Partii —
przede wszystkim ze strony naszego
dowódcy — towarzysza „Jastrzębia”
pozwoliły mi wyrosnąć na świadomego
komunistę — bojownika za sprawę
Polski Ludowej. Teraz gdy usilu-
ję podsumować osiągnięcia tych lat i
zastanawiam się, co miało na nas
największy wpływ wychowawczy —
sądzę, że wychowały nas przede
wszystkim te perspektywy pokojowe-
go budownictwa, które nieustannie
stawiano nam przed oczyma, ucząc, że
nasza walka zbrojna jest tylko wste-
pem do czekającej nas walki o zmia-
nę oblicza naszego kraju. Dlatego
wojna dla nas była smutnym i cięż-
kim obowiązkiem żołnierskim, nie o-
kazją do wykonania własnej „mocy” —
jak dla faszystów z NSZ-u, nie mia-
ła też pseudo — romantycznego
posmaku gorzkiej, a nonszalanckiej
ofiary — „bucnąć w strzał, niby w
śmiech i życie dać — jak lubej
kwiat”... Śpiewali kabotyni (z AK). Nie
zgrywalimy się na nadludzi — dem-
onów zniszczenia, ani ofiarników, cze-
kalimy chwili, w której będzie moż-
na odłożyć pepesze, by ująć kielnię i
plug.

Tę piękną i ludzką perspektywę
walki wyzwolitej tak bardzo prze-
konująco ukazywał przez Czeską
w słowach „Kazika” i w trosce „Aleks-
andry”, tłumaczącej młodym ZWM-
owcom konieczność uczenia się i
przygotowania do pracy pokojowej
odnajdywaliśmy w słowach naszych
wychowawców, w naszej prasie, w
rozmowach z każdym z towarzyszy.
Ona to była jednym ze źródeł naszej
niezłomnej wiary w zwycięstwo, która
nie opuszczała nas w najcięższych
chwilach, jakie przeżywałyśmy w cza-
sie walk w lasach lipskich. Ani kles-
ki, ani miadzłucha zdawało by się li-
czebna i techniczna przewaga wroga,
ani śmierć naszego drogiego dowód-
cy niezapomnianego „Jastrzębia” nie
rozbiły naszego oddziału. Nad lek i
nieodwrocenie młodego żołnierza,
nad wściekłość wroga, nad głód i
chłód partyzanckiej nędzy silniejsza
była wiara w zwycięstwo i wiara w
pracę, jaka czekała nas po wojnie.
Tego uczyła nas Partia.

Pamiętam „Romka” Kowalika, sy-
na chłopca z sandomierskiego. Zżyli-
my się bardzo i niejednokrotnie pro-
wadziłyśmy długie rozmowy o przy-
szłości. „Romka” nie przynęcała do
partyzantki bezwzględna konieczność
— ani niedza, ani „wsypa”. Miał się,
jak mówił stosunkowo „dobrze”, pra-
cował w niemieckiej piekarni, nie ty-
lko zarabiał nieźle, ale był znosnie
traktowany. „Nie podobał mi się ten
wzrost, jaki istnieje” — tłumaczył
mi gorąco — „i czy to ja zawsze
mam być tym niepiśmiennym, mam
żyć w ciemnocie”... „Romek” — ży-
wy i rożgarnięty chłopiec, ale analf-
abeta miał jasno wytyczony plan ży-
ciowy, chciał być lekarzem. Dziś, gdy
rzeczywistość Polski Ludowej ukazała
nam już w jak niezmiernie szybkim
tempie likwidować można rezultaty
wiekowego zacofania w dziedzinie o-
światy, jak szerokie możliwości o-
światy społecznej i kulturalnego sta-
ją przed złośliwymi i wytrwałymi ludź-
mi pracy — dziś wiemy już, że taki

pomysł — aczkolwiek trudny — nie
jest niemożliwy do zrealizowania.
Wtedy zakrawał jeszcze na szaleń-
stwo. „Romek” jednak był niezach-
wianie pewny swego. „Będę leka-
rzem” — powtarzał uparcie — „będę
mieszkał na wsi i leczył chłopów. U
nas był tylko jeden lekarz na powiat
i to dla bogatych — czy rozumiesz



Foto Cz. Swirta

co to znaczy? Ilu ludzi umiera bez
pomocy? Zobaczysz, że będę leka-
rzem” — „A jak cię zabiją?” — dro-
czyłem się z nim. Obruszył się. —
„Nie ma mowy. Muszę dożyć. Zresz-
tą — „komunista nie umiera”. Do-
sięgał go jednak hitlerowska kula. Fle-
kroć stykam się ze sprawami tysięcz-
nych rzesz młodzieży chłopskiej, która
napłynęła na uniwersytety, by pełnić
naprzód życie swych gromad, muszę
myśleć o tym kilkunastoletnim
analfabecie, który z partyzanckiej zie-

EDMUND SAS

O TYCH CO DOSZLUSOWALI...

PAMIĘĆ. Ludzka posiada tę nieo-
mal cudowną właściwość, że
w pewnych warunkach nad po-
dziw ożywa i znowu stają przed o-
czyrma zarte na wół obrazy, przy-
pominają się zdarzenia sprzed kilku
a nawet więcej lat. Ale na to by się
przypomniały trzeba silnego wstrząsu.
Była nim dla mnie wydana ostatnio
książka Bogdana Czeskiej — „Pokole-
nie”.

Rok 1939... Wagon kolejowy, w któ-
rym zgodnie z regulaminem można
było przewozić cztery konie i dwóch
ludzi obsługi, załadował się pięćdzie-
sięciu chłopców, którzy wzięli udział
w podziemnej akcji. Najlepsze miejsca zajęli
panowie szlachy. Ich starannie zroba-
wane wokół plecaków koce, czyste me-
nieszki, czyste mundurki wyraźnie od-
biły od reszty żołnierskiego ekwipu-
nu. Jechaliśmy do niewoli niemieckiej.
— Cholera jasna — pamiętam głos
szeregowca Czesława Olczyka —
przecież ja ani razu nie strzeliłem. To
ci dopiero wojnal! 31 sierpnia odebra-
łem kartę mobilizacyjną, 6-go wrześ-
nia dali mi wreszcie mundur a kara-
bin znalazłem na dzień przed wzię-
ciem mnie do niewoli. Był bez amu-
nicji. No i rzeczywistość ani jednego
guzika od spodni nie oddaliśmy wro-
gowi, lecz cały nasz szeroki kraj. Ze
tę pośród nas nie ma ani jednego
generała, szkoda, bo byłoby z kim
pogadać.

Sierżant-szef, opasły Wachowiak z
mojego pułku nie wytrzymał.
— Co ty rekrutka ofiermo możesz
wiedzieć o panach generalach. Już
oni o nas nie zapomną. Jeszcze się
natrzelasz, a tu propagandy nie rob.

W „Pokoleniu” starszy pan Słup-
ski „nadziany” po dzurki w nosie ko-
munistami BBC” wypowiada nastę-
pującą opinię o sytuacji politycznej
okresu wojny: „No, a Anglia? Anglia
i Ameryka? Tu cię boli, karasiu. To,
panie, orzechy. Oni się zbroją po ci-
chu. Rusek wojuje, ale oni zafokoczą
wojnę. Lupa, panie, aż trociny pole-
ca...”

Takie właśnie opinie w naszych je-
nieckich warunkach powtarzał mój
sierżant-szef i podobna mu obozowa
elita. Nie było tak, jak myślałem na
początku. Kiedy zamknięto za nami
bramę stalagów szafrem, że zaparto
nam wrota do świata, że żyć oddal
będziemy w próżni, zdala od wojen-
nego zgiełku, w oderwaniu od kraju,
za którym rosła z dnia na dzień tę-
sknota.

Obóz najwyraźniej zróżnicował się
politycznie. Sierżantka góra w niepo-
jęty dla nas sposób dysponowała
wiadomościami „wprost z Londynu”,
nakazywała „gotowość bojową”. U-
siłowano nas dzielić na drużyny,
plutony i kompanie, kazano nam wy-
obrazić sobie, że obsługujemy wła-
śnie najnowszy ciężki karabin maszy-
nowy angielskiej konstrukcji, że idzie-
my do ataku na niewiadomego wro-
ga. Kręcili się pośród nas „panowie
podchorążowie”, nieźle na ogół wy-
glądający młodzieńcy, stworzeni — po-
dobnie jak Jasio z „Pokolenia” — do
wielkich czynów, których czas jeszcze
nie nadszedł. Ci badali nastroje
wśród masy żołnierskiej. Pamiętam
jak dziś — powtarzali do znużenia
ideę wojska, wykładaną przez Pi-
łsudskiego — dzieje wojska to dzieje
rozroku, wykonaj rozkaz zwierchnika,
a będziesz dobrym żołnierzem. Obóz
miał być przymusowym miejscem od-
poczynku, następnie przysłać alianci,
dadzą nam broń i znowu będziemy
walczyć jako żołnierze. Ich wykłady
patriotyczne to była jakaś mgławica,

miłki oczyma żarliwej wiary komu-
nisty zobaczył drogę swojego pokole-
nia.

Odnajdywałem w „Pokoleniu” wie-
le drogich i ważnych spraw naszego
życia i walki w czasie okupacji —
nie odnalazłem jednak wielu pięknych
i drogich ludzi. Z pewnością w ry-
sach Sekuty i Rodaka uderzyło mnie
podobieństwo do ojca i jego towarzy-
szy. Tacy byli zwyczajni a mądrzy,
świadomi swej racji i nieustępliwi,
surowi a życzliwi człowiekowi. Jakże
jednak mało dowiedziałem się o tych
przodownikach naszego pokolenia,
którzy stali się dla nas symbolami
najlepszych, którzy odeszli. Nie zna-
łem ich osobiście — ale i nie pozna-
łem w książce Czeskiej. Jak cię miga
Hanka Sawicka — ładna, serdeczna i
energiczna, tyle tylko wiemy o niej
nie licząc prostych i pięknych słów
pisarza o jej śmierci. Jak cię i to obcy
i surowy miga Janek Krasicki —
prawie nie znają go chłopcy, a czy-
telnik nie poznaje nawet opowiadania
Aleksandry o jego życiu i śmierci. A
najbliższy nam z fikcyjnych bohater-
ów książki — Stach? Jak mało zna-
my Stacha, jak mgławkowo i niepeł-
nie pokazuje nam go autor. W par-
tach, odnoszących się do postaci
Jurka ma się wrażenie, że główna
troska pisarza polega na kompromita-
cji bohatera. Dyskwalifikuje go na-
wet łatwe słowa — „chodnik w fio-
letowej kwiacie”. Przeczyta jakieś dą-
pkią książkę Czeskiej, wiedza o tru-
dnych początkach naszej walki były
by z pewnością głębsze — bliższe
czytelnikowi, gdyby autor nie wstydził
się wzruszenia przy wspomnieniu niedaw-
nego dnia wczorajszego, z którego
wrosło nasze dzisiejsze.

„Jerzy” Nochcinski

stek wielkich słów, a wśród nich
„chłna pańska lojczyzna”, podobnie
jak u AK-owców z książki Czeskiej.

Okazało się, że Czesław Olczyk
był prawie moim rodakiem. Mieszkał
w Pabianicach pod Łodzią. Trudnił
się murarstwem. Przez pewien czas
pracował w Łodzi u Gayera razem z
moim ojcem.

Kiedy Wachowiak opowiadał o
„wielkim marszałku” — Olczyk mówił
o żołdakach hitlerowskich, strzegących
trumny Piłsudskiego. Wokół tego po-
mownika „młarskiego” skupiło się na-
sze „pokolenie”. Pamiętamy wieczory.
Śpiewali prości ludzie ludowe, polskie
pieśni, śpiewali się przez długie godziny
opowiadania o przedwojennych sto-
sunkach społecznych na wsi. Walcząc,
malorolny ochotnik gdzieś spod Li-
manowej ochotnie reformę rolną.
Zaraz też wystąpił przed nami
podchorąży Morawski, syn dziedzica
z referatem na temat „pewnych re-
form”, na które pójście powojenny
rząd polski.

W roku 1941 otrzymaliśmy paczkę
z Anglii. Ta droga nasza sierżan-
teria przyjmowała odpowiednie instru-
kcje, niekiedy całe, gotowe referaty
polityczne. I znowu uderzająca zgod-
ność. Jakże łatwo to dziś zrozumieć,
że londyńscy rzucali dla nas te sa-
me hasła, co i dla nas, po swojemu
patriotycznej młodzieży akowskiej
Warszawy i innych miast. Mieliśmy
być wrogami Związku Rad, mieliśmy
po to właśnie być przez aliantów u-
wolenieni.

Olczyk te sprawy rozumiał naj-
lepiej. Ale też nie długo z nami po-
stał. Najpierw sierżant-szef przydzielił
go do innej kompanii karabinów ma-
szynowych, a następnie postarł się,
by opuścić nasz stalag. Pisał do nas
czasem z portu Rostock. Uciekł stam-
tąd w końcu roku 1942. Wiedzieliśmy,
że do Polski. W obozie ogłosiło kie-
rownictwo oficjalnie, że Olczyk zdra-
dził „lojczyznę”. — No gdzieżby u-
ciekł taki komunista, jak nie do ma-
tuszk Rosji — krzyczał Wachowiak —
tylko, że Rosja idzie teraz razem z
Hitlerem przeciwko nam”.

Z listów przysyłanych początkowo
z Rostocku wynikało, że w dalekim
mieście portowym spotkał „swoich”.
Nie miałem wtedy pojęcia o między-
narodowym charakterze robotniczego
ruchu, nie rozumiałem, że wszędzie,
gdzie byli robotnicy napotykal Ol-
czyk swoich.

W jenieckim obozie trwała zawzięta
walka o człowieka. Walczono zawzię-
cie o dusze prostych chłopów, którzy
pamiętnego września próbowali obro-
nić kraj przed faszystami. Antypra-
dzieckie oblicze kierownictwa stalagu
otwarło wielu spośród nas oczy. Do-
znawaliśmy uczuć ludzi złapanych w
potrzask. Jasne było, że Hitler wojnę
przegra, ale nie sądziliśmy, aby wojs-
ka radzieckie dotarły aż do naszego
obozu. Węć jakże będzie? Przysłał
alianci, z nimi nasi panowie genera-
lowie, o których Wachowiak coraz
częściej mówił, podzielał nas na te
plutony, drużyny, dadzą angielską
broń i... wierzyć się nie chciało. A
jednak antypradziecka heca bezczelna
i nieduwczanna, ciesząca się zresztą
pełnym zrozumieniem u hitlerowców
— usławała wszelkie wątpliwości.

U schyłku roku 1943 pomyśleliśmy
pierwszy raz o ucieczce do kraju.
Było to jedynie i bardzo ryzykowne
wyjście z matni. Co do mnie ucie-
klek w roku 1944 stosując starą, wy-
próbowaną w wojsku metodę symula-

WYPOWIEDZI czytelników, któ-
re napłynęły do redakcji w
związku z powieścią Bogdana
Czeskiej „Pokolenie”, mają jedną ce-
chę wspólną. „POKOLENIE jest ksią-
żką dużej miary a cechą takich ksią-
żek jest to, że każdy z niepokojem
szuka w nich wyroku we własnej
sprawie” — pisze jeden z czytelników.
Wszyscy też konfrontują książkę
z własnymi doświadczeniami, szukają
w niej siebie, a jej bohaterów wśród
ludzi sobie znanych, żądają wiedzy o
ich dalszych losach. Niewątpliwie ten
niezmierzony żyw i osobisty stosunek
czytelnika do książki jest miarą jej
nieprzeciętnych ideowych i artystycz-
nych osiągnięć.

Postulaty czytelników nieraz zatrz-
cają o „wszystkożem”, przekraczający
możliwości — i obowiązki pisarza.
Trudno negować Czeskę w zasadzie
prawdę do zamknięcia książki etapem
powstania, trudno żądać rozszerzenia
jej obrazem drogi życiowej młodego
komunisty pochodzenia chłopskiego.

IRENA MATYSIAK

PIONIERZY DNIA DZISIEJSZEGO

POKOLENIE” Czeskiej jest książ-
ką trudną i bliską, książką,
która zmusza czytelnika nie
tylko do przemyślenia spraw i zda-
rzeń w niej zawartych, do spojrzenia
jeszcze na lata okupacji, lecz
także do zastanowienia się nad cią-
giem dalszym. I właśnie to, że czy-
telnik po zamknięciu tej książki nie
rozważa zakończonych losów jej bo-
haterów, ani nie dorabia ich sobie w
wyobraźni, lecz szuka ich wokół sie-
bie, stara się wysledzić dalsze koleje
ich życia w swoim warsztacie pra-
cy, świadczy o niezwyklej stosunku
uczuciowym jaki wiąże dzisiejszego
czytelnika z książką Czeskiej. Znajemy

sobie przecież doskonale sprawę z te-
go, że czytelnik szukając dalszych lo-
sów „Pokolenia” czyni to nie dlatego,
że brak w książce Czeskiej rozdziału
pt. „Epilog”, lecz z tego względu, że
jest to pierwsza bodaj książka o oku-
pacji, która w tym stopniu nie trak-
tuje tych lat jako zamknięcia minio-
nego okresu historycznego, ale daje
obraz rodzenia się zaczątków nowego
życia, nowego ładu społecznego. Cze-
sko pokazał życie wojenne nie jako
czas, w którym „zatrzęsła się histo-
ria”, lecz jako okres w którym wal-
ka starego z nowym toczy się szcze-
gólnie ostro. To właśnie historyczne
patrzenie na rzeczywistość pozwoliło
mu dojrzeć korzenie naszego życia
powojennego, pozwoliła na pokazanie
prawdziwego obrazu konspiracji. Kon-
spiracji, która bynajmniej monolitem
nie była, w łonie której toczyła się o-
stra walka klas. Umiejętnie, prze-
konująco stwierdza Czesko, że o
nasze dzisiejsze życie walczyli tylko
ci, dla których walka narodowo-wy-
zwolenicza związana była jak najściś-
lej z walką o wyzwolenie polityczne
i polityczne z walką o zachowanie
ludzkiej godności — dźwigni nowej
moralności, nowej etyki, której pod-
walny kładą w trudzie walki i pra-
cy tacy jak Stach z „Pokolenia”, jak
Janek Krasicki, Hanka Sawicka, Dzia-
ła Złoteżyk i inni nieznani nam w
większości wypadków z imienia bo-
jownicy o Polskę Ludową.

Bohaterowie „Pokolenia” to ludzie
nowych dni, to ci najmłodsi z war-
szatów, kopalni i szkół, którzy dziś
walczą o terminowe wykonanie pla-
nów, o przyspieszenie tempa odbudo-
wy. Stach, Jurek, Sekula — ci, któ-
rzy w trudnych latach wojny życiem
płacili za bunt przeciw podłości i o-

Przewracając kartki „Pokolenia” i
myślę o okresie kilku miesięcy, które
spędziłem na podlódzkiej wsi, aż wy-
zwoliło nas wszystkich późne ude-
rzenie radzieckiej armii i naszego po-
lskiego wojska. I nie mogę oprzeć się
uczuciu pewnej gorzkości. Czuję się po-
 prostu trochę jakby osobiście pokrywy-
dony przez Czeskę. Ucieklek z o-
bozu — to prawda. Lecz w ukochane
strony nie wiodła mnie ideologia po-
lityczna. Chciałem zaprotestować
przeciwko próbom uczynienia ze
mnie mięsa armatniego w walce ze
Związkiem Rad — to prawda. Lecz
prawdą jest również, że był to emo-
cjonalny protest, nie dający się
sprowadzić do racjonalnych, wyraźnych
politycznych ściśle przesłanek. Ten
nawpół romantyczny protest pomi-
szał się z ludzką, zwykłą tęsknotą za
matką, ojcem i braćmi. Jeżeli uciecz-
ka była demonstracją polityczną to
moje wejście w sytuację narodu na
krótko przed wyzwoleniem takiego
charakteru nie miało. Z tego protestu
nie wynikała mechanicznie świad-
omość klasowa. Ot, ukrywaliśmy się,
czyszcząc broń żołnierzom B. Ch. u-
czyłem się trochę, a przede wszystkim
odpoczywałem, po ciężkiej drodze do
kraju. Dopiero powojenne dzieje odbu-
dowującego się kraju, konkretna pra-
ca z robotnikami, jaką do dziś dnia
prowadzę — pomogły mi znaleźć
właściwe oblicze polityczne.

Przewracając kartki „Pokolenia” i
myślę o prawie do przeszłości, które
powinno przysługiwać wszystkim tym,
którzy są uczciwi, którzy gotowi za-
wsze byli i są oddać swe siły ojczy-
nie, a którzy — jak ja — błądili nie-
raz długo nim dopracowywali się
marksistowskiego poglądu na świat,
bo balaństwo ich, oszukiwano, jak
wielu w obozie jenieckim, jak wielu
innych.

Wydał mi się, że Czesko — za-
pewne bezwiednie — zaprzecza jak-
by sensowi takiego rozwoju. On
wskazywał tylko na tych, którzy od ra-
zu stanęli na właściwej pozycji kla-
sowej, a reszta...? Jest to stanowisko
nie uwzględniające w szerszej
perspektywie wiary w możliwości
przemiany człowieka. Nasza ojczyzna
nie jest tylko placem wielkiej budo-
wy, jest także szkołą charakterów. Ja
przynajmniej widzę, jak z dalekich
wsi zahukana i ciemna młodzież wie-
ksza w procesie pracy rozkwita, staje
się socjalistyczna.

Podobnego zdania jest Olczyk. Nie-
dawno temu, chyba w zeszłym mie-
siącu wyraził się w ten sposób:
— No co Mundek — doszłusowa-
łeś do nas.

Olczyk jest sekretarzem partyjnym
w kole fabrycznym, a ja pracow-
niem spółdzielni pracy „Szamot”.
Spotkaliśmy się po kilku latach na
wspólnym froncie. Ale czy obalamu-
co młodzież, którą Czesko tak świet-
nie ukazał w swej książce składa się
także i z jednostek, które kiedyś spot-
kają się z byłymi gwardzistami? W
świecie „Pokolenia” niestety — nie.
A w praktyce obserwujemy, jak
wciąż poszerzają się kadry świad-
omych budowniczych nowego życia, jak
wyrasta socjalistyczny naród polski
w starym i młodym pokoleniu.

Edmund Sas

Irena Matysiak



Foto Film Polski

C z e s z k i „P o k o l e n i e”

Jak migawkowo i niepełnie pokazuje nam go autor — pisze AL-owiec „ferzy”, który pragnął odnaleźć w „Pokoleniu” plomien walki przodującego oddziału naszego pokolenia, nie-falszowaną wielkość ludzi zwykłych i codziennych, których ogarnęła wielka idea.

Żal o brak „dalszego ciągu”, o pozostawienie bohaterów przed progiem naszych dni, choć nie może podważać zasadniczej koncepcji autora — jest jednak bardzo zmienny. Wskazuje jak żywa jest potrzeba powieści, która tematycznie byłaby odpowiednikiem „Plomienia czerwonych krawatów” Gruszczyńskiego, ukazującą walkę ZWM-u w pierwszych latach Polski Ludowej i udział młodzieży w naszej rewolucji, szturmie do szkół, uniwersytetów i fabryk, wkład jej w nasze budownictwo — te wszystkie doniosłe fakty naszego życia, które wychowały niezliczone już dziś rzesze przedstawicieli pokolenia.

Książka Czeski będąca dojrzałym i wartościowym dziełem literackim ze względu na swą problematykę i walory wychowawcze może odegrać poważną rolę w literaturze dla młodzieży. Zachwył dla książki M. Ostrowskiego „Jak hartowała się stal” niezwykle zainteresowanie, jakim cieszy się grono obecnie w Warszawie film o losach Pawła Korczagina wśród młodych widzów świadczy, że ta opowieść o młodym bohaterze Wielkiej Rewolucji, przyniosła piękny wzór wychowawczy człowiekowi socjalizmu, „dorosłym ludzi”, została w pełni wchłonięta i przyswojona przez naszą młodzież. Młodzieży nie trzeba awanturniczej literatury o „naszych milusińskich” — trzeba, tak jak Czesko pisał o poważnych i ważnych sprawach młodości Polski Ludowej i młodości jej budowniczych, ale pisać tak jak Mikołaj Ostrowski.

Redakcja

STANISŁAW KISIECKI

DALEJ O NASZYM POKOLENIU...

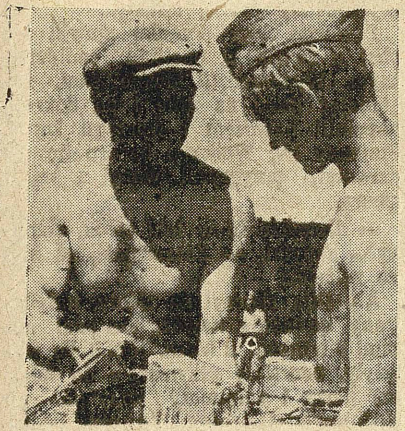


Foto Cz. Swirra

LATA okupacji były wielkim okresem próby: pod naciskiem faszystowskiego terroru upadali ludzie, pozbawieni moco- go kośćca ideowego, lecz jednocześnie rośli ci, którzy umieli złączyć swoje życie z wielką sprawą wyzwolenia człowieka i pozostałi jej wierni.

Mówi o tym „Pokolenie” Bogdana Czeski. W warsztacie Bergów, monstrualnym przykładzie przemysłu „G. G.” spotykają się dwaj młodzi chłopcy — kandydaci na praktykantów. Stacho to syn robotnika, który „mandolina” — łopatką zarabiał na życie. Jurek — syn lewicującego inteligenta. Wyszła Bergów jest dla nich „początkiem edukacji”, ślad pod troskliwą opieką starych KPP-owców Rodaka i Sekuly wyjdą do pierwszych akcji! Do pracy konspiracyjnej w GL i ZWM-ie. Stacho i Jurek — obaj przyjaciele, obaj podobni w wielu rysach. Ale Stacho przez konspirację przechodzi bardziej konsekwentnie, zdecydowanie. Na Jurka działają owe (cytuje A. Wurmsera) „wzory które tak mocno wpijają się w ciało, że nie można żadnego z nich zerwać nie raniąc się do krwi” — więzy inteligentnego środowiska. Ale Jurka, mimo chwilowego upadku, zobaczmy znów wraz ze Stachem, w AL-owskich oddziałach powstańczych. Nad chłopakami czuwa moralna opieka Partii, która ich wychowuje, kieruje nimi, przyspiesza dojrzewanie tego zagrożonego pokolenia.

Partia przyszła po to, aby nie błędził tacy jak Jurek Korecki, aby „samotność i dezorientacja polityczna nie zaprowadziły ich do obozu wrogów i zdradcy”. Przyszła po to, aby uchronić Stacha przed czajającą nań krawców demoralizacją, aby rozpalili w słabym człowieku — Jasiu Krone decyzję i wolę walki.

Partia na kartach „Pokolenia” to żywi ludzie. Troška moralna Partii, to właśnie myśli Sekuly, podobne do gorącego dymu, gdy po pierwszej akcji młodego chłopca — zabójcę szpicla — „lekał się, czy nie zobaczy w oczach Stacha suchego, zimnego blasku. Bał się, że po pewnym czasie twarz chłopca skamienieje, wskazując, iż wszelka ludzkość stała mu się obcą”.

„Pokolenie” — nie jest wyabstrahowanym studium dojrzewania politycznego młodych chłopaków. Jest szerokim obrazem rzeczywistości okupacyjnej, niesłuchanie zróżnicowanej, jest powieścią najeżoną krótkimi, zwartymi epizodami, konstrukcyjnie może nie dość spójnymi z osią dzieła, ale ustawionymi z wyraznym celem stworzenia syntezy tego okresu i nakreślenia bogatego dla działalności bohaterów. Te płonące zdarzeniami, przeżyciami ludzkimi powieści — kończy naby bolesny akord obraz rozpaczliwej walki i upadku powstania warszawskiego, Jurek i Stacho, walczący w szeregach AL, przeszli na lewy brzeg Wisły. „Starając się jak najciężiej zanurzać piora wiosel, przeci-nali Wisłę... Jurek odwrócił głowę... W mroku płońskiego pożarów... Dał nich były to ognie wosłoci”. Tak kończy się ta książka, mówiąca o młodości pierwszego rocznika ZWM, o młodości komunisty.

Zamykam książkę... Czuję wśród natłoku wrażeń potężniejszy niedosyt. — Ależ to dopiero wstęp do życia- rysu pokolenia Polski Ludowej. Stacho i Jurek — śmiem rzec, nasi star- si koleży — to dopiero zaród, ostród- dek z którego rozrości się potężny ruch młodzieżowy, ZWM-owcy pier- szych lat wyzwolenia, milionowa orga- nizacja ZMP — obecnie. Następ- ne lata wyznaczają i poszerzają krąg

BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI

JAK ROŚNIE POKOLENIE

POWIEŚĆ Czeski rozpoczyna oceną butnego przemarszu wojsk hitlerowskich na wschód. Autor obrazowo charakteryzuje na- stroje w społeczeństwie. Kurz wznie- ciany przez armię „zwycięzców” osi- adł na oczach wielu. Widzieli tylko „nie- ziomność armii niemieckiej i własną nieość”.

W tej sytuacji walkę narodowo- wyzwoleniczą z wrogiem inicjuje i prowadzi proletariát, komuniści.

O hufcu najmłodszych bojowników, o młodzieży ZWM-owskiej i jej wkładzie w walkę, jej dojrzewaniu i wzroście mówi „Pokolenie”.

Jest to „pierwszy etap dziełowej walczącego pokolenia. W sercu kra- ju, w Warszawie w walce z wrogiem dojrzewa pod czujnym okiem starsze- go pokolenia KPP-owców proletari- atki syn, Stacho i syn lewicującego inteligenta, Jurek.

I to jest pierwsza zasadnicza linia tematyka utworu. Na drugiej, prze- ciwstawiane, widzimy postać Wład- ka, Jasia — reprezentantów mło- dzieży akowskiej, oszukanej „patrio- tyczną” frazeologią obszarniczno-bur- żuazycznego bloku orientacji londyń- skiej w praktyce zawierającej sojusz z Gestapo dla unicestwienia PPR-u i ZWM-u w imię swych interesów klasowych.

Ta linia walki została zarysowana przez autora wnikliwie, zgodnie z hi- storyczną sytuacją okresu okupacji. Jednak środowisko akowskie jest u Czeski zbyt jednolite. Oszukani, z po- chodzenia klasowego często, proletari- atusze czy chłopcy (np. „Dzik”) nie dochodzą prawdy, nie odczuwają oszustwa, nie buntują się. Dlaczego? Czy oni są wrogami klasy robotni- czej, czy zamknięci już przed nimi droga do obozu postępu?

To pytanie pierwsze.

Drugie dotyczy głównego bohatera. Czy rozwój i dojrzewanie Stacha jest typowe i w pełni przekonywające?

Czytając „Pokolenie” Czeski z per- spektywy dziełowej pokolenia okupacyj- nego dostrzec możemy w pełniejszym

świecie wiele spraw pokolenia chłop- skiego lat powojennych. I odwrotnie. Przez pryzmat doświadczeń własnego pokolenia staralem się wyłuskać błę- dy i niedomagania książki.

Okupację przeżywałem w rzeszow- skim na zapadzie wsi. W okolicy AK wykazywało dużą aktywność. Chłopi KPP-owcy nie mogli pozostać we wsiach rodzinnych, by działać na miejsc, walczący w GL-u w sąsied- ních rejonach. Natomiast obrabiali w pierze kulacy i spekulanci i oni głów- nie zasilali szeregi akowskie. Bied- niak wiedziony poczuciem obowiązku patriotycznego, otumaniony hasłami akowskimi, też szedł do ich szere- gów. Znam obecnego kierownika spół- dzielni, II sekretarza KG Partii, który był w AK. Droga do Partii tego biedniackiego syna zaczęła się już w akowskim oddziale. Poznał ich grę, gdy w r. 44 żołnierzy radziec- kich kazali witać jak wrogów salwa- mi z anglosaskiej broni. Przeczyli się jednak. Doli akowskie użyły broni przeciw swym obłudnym oficerom, nie przeciw bratniej armii robotniczo- chłopskiej. Podobne fermenty w od- działach AK nie były rzadkością. A u Czeski? „Dzik”, ciemny proletari- atus — akowiec walczy z bracią w GL-u, trzyma się „Raroga”. Nie wie wskazuje na to, by Jasio, a na- wet Władek znaleźli się w przyszło- ści w szeregach postępowych — a choćby lojalnych obywateli Polski Ludowej.

To zaciemnia perspektywę na przy- szłość, jak gdyby sankcjonując wieczną bezwzględność tragizmu „pokolenia akowskiego”, podczas gdy w rzeczywisto- ści setki tysięcy z nich wkrótce po wojnie znalazły się w okresie re- wolucji w szeregach pokolenia wal- czącego. Wzięły w leń raz na zaw- sze z chwałą wyzwolenia Polski przez Armję Czerwoną nadzieje dowódców AK, sługusów kapitału i bliskich krewnych hitleryzmu, otworzyły się oczy oszukany.

Powieść Czeski kończy się w mo- mencie, gdy kona powstanie war-

szawskie. Ale bohaterowie nie giną. Przeplnili Wisłę, zostawiając za sobą płonącą stolicę. Czytelnik odkłada przeczytaną książkę i nie może oprzeć się uczuciu żalu do autora. Przecież to dopiero wstęp do historii Polski Ludowej. Stacha, Jurka tracimy z oczu w momencie, gdy czeka ich trudne zadanie — rewolucja. W jej toku chcielibyśmy wiedzieć pokolenie: dojrzewające, zobaczmy nie tylko jak rośnie, ale jak krystalizuje się młody komunista, jak dokonywa się nowy zaciąg do szeregów w wyzwolonych miastach i wsiach. Nieliczna grupka rewolucjonistów z pokolenia Stacha staje się w warunkach rewolucji spo- łecznej w okresie łamania wściekłego oporu wroga klasowego, likwidacji obszarników i kapitalistów, stosem pacierzowym potężnej armii młodzie- ży postępowej: toteż gdy zgnęmal Stacha na ostatniej stronie powieści Czeski odnalazłem go jak żywego we wspomnieniach z lat 1945-51. Tego samego? Nie, zupełnie innego, był to bowiem Stacho pokolenia chłopskiego syn biedniacki, o którego na wsi oparł się rewolucyjny program pokolenia proletariackiego w dobie reformy rol- nej, referendum i wyborów. Był Sta- chem bo rósł w górę w walce, uczył się po nowemu patrzeć na świat i działać, z dziecka chłopskiego sta- wał się komunistą.

W okolicy po wyzwoleniu (rzeszow- skie pow. Kolbuszowa) ścierały się ze szczególną siłą dwa nurty ruchu ludowego. Nurt lewicowy z PPR na czele, reprezentujący tradycje rady- kalnych organizatorów „republik kol- buszowskiej”, strajku chłopskiego w 1937, partii KPP i NPCh — ująwszy władzę w swe ręce, zapamiętałe bro- nił zdobyczy ludu pracującego przed nurtem kulacko-plebańskim z PSL-em i resztkami AK i NSZ na czele, w okolicach, gdzie żyły również tradycje Borki i Witosza. Rabunki placówek spółdzielczych, napady na organa MO, skrytobójcze morderstwa, dokonywane na działaczach lewicy wzmogły się szczególnie w okresie referendum. Tak działał wróg. Ale biedota przy po-

mocy ekip robotniczych z odległych często miast (okolica zupełnie nie- uprzemysłowiona) wykazała nie mniej inicjatywę i hartu. W radach narodo- wych, organach MO i bezpieczeństwa znaleźli się najlepsi (z wioski Me- chowice np. 5-ciu w MO). Mimo terroru i pogrożeń działali komórki partyjne. Ujęcie i rozbiście bandy NSZ w r. 48, politycznego oparcia kulaków i PSL-u, zdemaskowanie Mi- kołajczyka, zjednoczenie partii — to etapy wzrostu i krzepnięcia radykal- nego nurtu, a klęski obozu kulac- kiego.

Wiernym odbiciem tego układu sił klasowych, przebiegu walki i jej eta- pów są dzieje mojego przyjaciela Bronka, którego nazywam chłopskim Stachem.

Bronek to syn biedniaka. W Polsce obszarniczno-kapitalistycznej pracowal- by dla kulaków „aby żyć” i żyłby tylko po to, aby być wyzyskiwanym, gdyby nie walka i zwycięstwo po- kolenia Stacha.

W pierwszych fazie walki do r. 1940, wiejski Stacho wyrwywa się dostępną mu furtką do szkoły średniej w Kol- buszowie, ale nadal pracuje u kulaka Kubisia. Kulak był jeszcze wtedy na wsi autorytetem, cieszył się poważ- niem i swobodą.

Dla Bronka szkoła średnia była tym, czym dla Stacha warsztaty Ber- ga. Tam zetknął się z członkami partii, ZWM-owcami, poznał prawdę o walce klas. Toteż w chwili, gdy kula- cy przegrzywają na całej linii, są co- raz bardziej przypierani do muru i izolowani społecznie, dołącza się do akcji. Pisze w r. 1949 do „Nowej Wsi” list o kulaku, który go wyzy- skował, o maszynach nabytych przez niego z „szabru” i służących do wy- zysku biedoty.

Potem zakłada świetlicę na wsi, ko- ło ZMP, w r. 50 wstępuje do Partii i ORMO. Partia kształtuje jego cha- rakter i działalność. W myśli jej pro- gramu prowadzi intensywnie szkolenie polityczne, agituje za spółdzielczością produkcyjną. Rezultat? We wsi w r. 51 zawiązuje się komitet założycielski spółdzielni. W podanych skróto- fak- tach nie trudno dostrzec przedłużenie drogi bohatera powieści Czeski. Bo nie tylko o fakty tu chodzi — one są etapami przemian człowieka, miarą jego wzrostu od bezpośrednio leżą- go w interesie własnym ataku na ku- laka, do świadomej, partyjnej agitacji za spółdzielczością produkcyjną.

Ta linia rozwoju jest wyraźniejsza i bogatsza w treść niż u Stacha. Wi- adac bowiem wyraźnie jej etapy w po- wiązaniu z całokształtem przemian w kraju. U Stacha w drugiej części książki, szczególnie przez wypadki podczas powstania zamazana zostaje



Foto Film Polski

ta ciągła rozwoju, nie doprowadzona do końca, do nowego etapu.

Nie wszystkie drogi wiejskich Sta- chów do Partii wiodły przez szkoły. Rostło nowe pokolenie chłopie w pracy polityczno-społecznej w terenie, ale najczęściej w okresach czasowego pobytu w środowisku robotniczym.

Jurek w powieści Czeski wśród robotników z inteligentą wyrósł na proletariusa. Podobnie jak mój przy- jaciół Władek, syn biedniaka. Podczas okupacji Władek wdział i odczuwał wiele spraw, pracując jako robotnik przymusowy w Rzeszy. Do wioski wrócił w czas najgorętszych walk przed i po referendum. Zginął wtedy jego wujkowie (byli KPP-owcy) od NSZ-owskiej kuli, członkowie Partii otrzymywali wyroki śmierci. Władek jakby w odpowiedzi na terror wstępu- je do Partii, do ORMO, w Radzie Na- rodowej demaskuje i usuwa z funkcji wójta i z szeregu Partii kulaka (w czasie okupacji sympatyka hitleryz- mu). Tymi i innymi decydującymi wy- stąpieniami przyczynia się do zlamania wściekłego oporu wroga.

Tak rośnie pokolenie w walce z wrogiem. To kontynuacja dzieła po- kolenia Stachów w prostej linii, trud i wysiłek łamania i dobicia wroga. Łączył się z nim ściśle cel, w imię którego toczyła się walka — odbudo- wa i budowa nowej Polski. Obok walki praca kształtuje charaktery młodego pokolenia. Bogactwo proble- matyki z tym związane jest nie do omówienia w krótkim artykule. Ale trzeba je ukazać w prozie, w powie- ści szeroko i wszechstronnie. Niech książki uczą nas żyć, walczyć i pra- cować jak „Pokolenie” Czeski i jak to „Pokolenie”, o którym jeszcze za- danie pisarz nie napisał, a czas prze- ciż najwęższy...

Tadeusz Muras

Bronisław Gołębiowski

TADEUSZ MURAS

O PEŁNY OSĄD POKOLENIA

RZADKO zdarza mi się czytać którąś ze współczesnych powie- ści polskich z tak głębokim przejęciem i zainteresowaniem, jak „Pokolenie” Bogdana Czeski. Lata okupacji, przeżywałem, mając, tyleż mniej więcej lat co bohaterowie „Po- kolenia”, byłem świadkiem podobnych wydarzeń. Ale książka wywarła na mnie wielkie wrażenie nie dlatego, że ukazywała mi czasy, które przeżywa- łem osobiście, lecz dlatego, że w tych czasach pokazała narodzin wiel- kiej sprawy, która wzięła za leń hi- storię i pchnęła ją nowym torem.

Nie miałem okazji zetknąć się w czasie okupacji z członkami AL czy ZWM. O partii i jej ideologii nie miałem wtedy najmniejszego pojęcia. Stąd zrozumienie spraw okupacji, jak- kie wyniosłem z własnego doświadcze- nia, było nieporównanie uboższe od obrazu, jaki stworzył sobie mogli ci, którzy wtedy już budowali funda- menty ludowego państwa polskiego. Rozumienie to wyznaczała moja pozyc- ja klasowa — syna średniaka na dorobku. Problem jaki ustrój będzie w Polsce po wojnie, nie wchodził je- szcze w zakres spraw niepokojących mnie wówczas. Najważniejszym za- gadnieniem było to, żeby wreszcie skończyło się okupacyjne piekło. Wi- działem wojnę od strony „japanek”, kontyngentów i pacyfikacji — myśla- łem że przed męką i strachem czło- wiek powinien się bronić czynną i o- strożną cierpliwością — byle przetr- wać i utrzymać swój stan posiadania.

Właściwego spojrzenia na czasy o- kupacji zacząłem się dorabiać na własną rękę, gdy zbliżyłem się do ideowych pozycji klasy robotniczej. Każda notatka w prasie, każda pu- blikacja o czasach drugiej wojny im- perialistycznej, każda rozmowa z ludź- mi, którzy byli w AL czy ZWM — były to cenne elementy, z których budowałem sobie obraz taki, by da- wał mi należyte pojęcie o układzie walki klasowej tego okresu. Z nie- cierpliwością oczekiwałem i oczekuję książki, która pokaże mi klubne ży- cie i nieugiętą działalność Małgorzaty Fornalskiej, Marceliego Nowotki, twórców KRN i innych. Ich życie jest dla każdego, kto pragnie być kontynuatorem ich działalności, wz-orem, do którego liczne pokolenia się- gając będą w swych najbardziej am- bitnych marzeniach.

Książka Czeski jest właśnie po- czątkiem takiej literatury. „Pokolenie” pokazuje, jak rośli ci, którzy dali po- czątek ogromnej już dziś armii ludzi, oddanych całym sercem walce o no- we, socjalistyczne oblicze naszego kraju. Wielkość bohaterów tamtego czasu można zrozumieć i ocenić rze- czywiście w takim kontekście faktów rzeczywistości okupacyjnej, w jakim u- stawili ich autor.

Widzimy w „Pokoleniu” zakład sto- larski Bergów, bogactwo ich na do- stawach frontowych, gwarantowa- nych nieograniczone kredyty niemie- ckie i możliwość technicznego unow- ożnienia zakładu oraz możliwości niesłychanego wzrostu pracowników, przykutych do firmy „Ausweissem”. Widzimy też członków AL i ZWM, którzy poświęcali własne życie

w walce o unieruchomienie transpor- tu niemieckiego. Śledzimy z jednej strony potworną galerię okupacyjnych hien, zerujących na ofiarach zbrodni hitlerowskiej — z drugiej zaś strony dumną nędzę ZWM-owców, którym bra- knie nawet porządnych butów, odpo- wiednich do udziału w akcjach. Obraz- owi ludzi prawicowego podziemia, opętanych nienawiścią do walki ludu, dekadentów lub awanturników, upaja- jących się wapiącą „romantyką” ak- cji — i hulankę po akcjach, przeciw- stawia się praktyka ZWM-u, gdzie systematycznie prowadzi się szkolenie ideologiczne, gdzie walka z okupa- tem jest równocześnie walką o nowy, socjalistyczny ustrój Polski. Na tle ponurego obrazu zezwierzenia lu- dzi przez faszyzm takie postacie, jak Sekuta, Dawid, jak ZWM-owcy Sta- cho, Jurek, „Pietrek”, dziewczyny — i wielu innych, którzy skupili się wo- kół Partii, dają właściwą perspektywę piękna i wielkości człowieka, który wybrał słuszną sprawę i potrafił dla niej zdobyć się na najwyższy wysi- lek moralny.

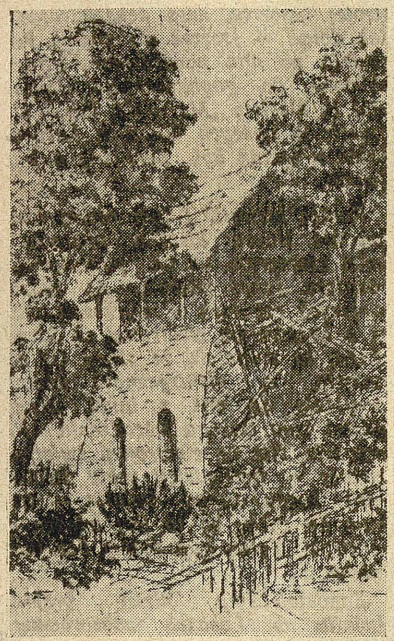
Jednakże, jako na brak książki, mu- szę wskazać na jeden moment — wi- dzimy jak ideologia partii wychowuje ZWM-owców, wiemy, że rosną ludzie, którzy staną się godni tego, by wziąć na barki odpowiedzialność za naszą przyszłość. Ale autor nie ukazał, w jaki sposób Partia oddziaływała na naród — w jaki sposób stała się je- go wodzem — nie ukazał nam ani jednego człowieka, który jakkolwiek wówczas daleki jeszcze od stanowiska Partii, znalazłby w przyszłości drogę do sojuszu z klasą robotniczą, do pozycji obywatela, który pod przewo- dem partii poświęcił siły budowie lu- dowego państwa. Władek — który mógłby stać się wyjątkiem — został ukazany jako człowiek już bezpo- wrotnie zgubiony, autor pozostawił go wraz z faszystą „Rarogiem” w lesie. Owszem był las z bandami do- konującymi zamachów na każdego, kto się solidaryzował z walką ludu, ale równocześnie rósł obóz demokra- tyczny, obóz walki o wyzwolenie spo- łeczne i narodowe. Na tym polegała siła Partii, że potrafiła ona mobilizo- wać wokół siebie ludzi. A tych spraw autor nie pokazał.

Gdy czytałem ostatnie karty książ- ki, z ogromnym lekkim wzdrięciem jak zmniejsza się ich ilość, dziela- cza mnie od końca, tymczasem zaś tylu spraw dotyczących wielu postaci au- tor jeszcze nie rozwiązał. Byłem przygotowany przynajmniej na epilog, który pokrótko ukaze dalszą drogę bohaterów także i w pierwszych, trudnych latach naszego nowego ży- cia — o tych sprawach jednak nicze- go nie dowiedziałem. Odłożyłem więc książkę z pewnym żalem do autora. Duży błąd powieści polega- moim zdaniem na tym, że nie wyszła za ludźmi dalej, chociażby do pierw- szych budowl Planu 6-letniego.

Może autor mógłby pokazać wtedy, jak świadomość Stefana, który wo- czas nie był w stanie zrozumieć piękna walki o rzeczy nowe, przerosła z czasem „mały domek z owocującym sadem”, jak życie wychowało go do zrozumienia spraw większych. Tym-

STANISŁAW CIEŚLAK

O budownictwie wiejskim



Rys. B. Piewińska

Nie ma dnia, aby pocztą nie przyniosła jednego lub kilku listów z terenu, mniej lub więcej wymownie przedstawiających potrzeby budowlane wsi.

„Największa moja bolączka — to dom stary i to pod słomą, nawet się obawiam, żeby mi się kiedy nie zawalił na głowę podczas wiatru i dużej burzy...” pisał ob. St. Ryczek z Bukowa pow. Nysa. „Inwentarza żywego posiadam: dwie krowy, jednego konia i dwie a czasem trzy świni. Z powodu ciasego chlewa nie można więcej trzymać, a na rozbudowę większego chlewa nie ma materiału i gotówki...” — donosi ob. Cabała z Zerkowic pow. Zawiercie.

„Mam 4,8 ha w powiecie Koźle. Cała nasza wieś została spalona w czasie działań wojennych i mieszkam dotąd jako lokator u mego sąsiada. Krowę i jałówkę umieszciliśmy u drugiego sąsiada, sianę i paszę — u trzeciego, zbiorę zórz trzymam pod dachem w drugiej gromadzie w odległości 5 km, a tylko świnię trzymam u siebie na gruncie...” — skarży się ob. Wagner ze wsi Stęblów. „Zwracaliśmy się wielokrotnie do Zarządu Powiatowego ZSCH oraz GS-u o przydział materiałów potrzebnych do odremontowania budynku nadającego się na świetlicę” — zwraca się o pomoc do Redakcji ob. Steciuk ze wsi Choroszyce, pow. Hrubieszów — cała gromada tej świetlicy pragnie. „Jakiś ośrodek, gdzie można by się zbierać dla narad produkcyjnych — i gotowej rolnictwa, jest u nas po prostu konieczny”.

„Mogłbym hodować z 8 świń, bo mam 10 ha, cóż, kiedy chlewy mi się zawalają i tak hodowla stopniowo się obniża, zamiast wzrastać” — alarmuje ob. Skwers Henryk z powiatu Bytów.

Nie ma w tym nic dziwnego. Dziś bowiem dopiero w całej pełni zdajemy sobie sprawę z opłakanego stanu, w jakim ustrój kapitalistyczny pozostawił nam budownictwo wiejskie i mieszkanki na wsi, jak ogromne braki nagromadziły się w l. 1919 — 1944 w zakresie budownictwa wiejskiego (siedliska, szkoły, ośrodki zdrowia i kultury itp.).

Przeszło połowę ludności wiejskiej, bo około 11 milionów osób zamieszkuje ustrój kapitalistyczny w słabo zabezpieczonych od zimy, pobawionych możliwości wentylacji i wszelkich urządzeń sanitarnych i izobowych mieszkaniach, w których przeciętnie na 20 m. kw. powierzchni w warunkach urągających zdrowiu ludzkiemu, nigdzież się przed wojną (bo przecież trudno powiedzieć, że mieszkało) przeciętnie po 4 do 8 osób.

Wcale nie lepiej przedstawiał się przed wojną stan budynków gospodarczych w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich, a więc stodoły, obór, stajnie, chlewy, kurniki itp., a więc budynków mających tak ogromny wpływ na poziom produkcji rolnej. Licho skłcone, z byle jakiego materiału, często bez żadnego ładu i składu i uwzględnienia potrzeb życiowych umieszczanego w nich inwentarza żywego — budynki te, nie dopomagając — przeciwnie utrudniały osiągnięcie lepszych wyników produkcyjnych, zwłaszcza w dziedzinie hodowli oraz nie zabezpieczały dostatecznie zbiorów roślinne przed stratami w okresie ich przechowywania. Na tle tego dość ponurego obrazu stanu naszego budownictwa wiejskiego w Polsce przedwojennej rażąco odbijały dostatecznie zagrody kulackie, wyposażone z reguły w obszerne i wygodne budynki mieszkalne i gospodarcze, nie mówiąc już o zabudowaniach dworskich, gdzie zwykłe starannie budowano i lepiej wyposażano obory i stajnie od czworaków.

Do tego doszły jeszcze ogromne zniszczenia wojenne 1939-44, które starły z powierzchni ziemi ponad 22% wszystkich zagrod chłopskich w Polsce na ziemiach starych i odzyskanych.

Gdy po wyzwoleniu przystąpiono do odbudowy i ustalenia ilości budynków, które należało by wznowić na wsi, co roku, dla wypracowania na jaki taki poziom naszego budownictwa wiejskiego wypadła astronomiczna niemal cyfra koniecznej kubatury rocznej w wysokości 60 milionów metrów sześciennych, wymagających: ok. 5 miliardów cegieł, ok. 500 tys. ton wapna, 400 tys. ton cementu, 240 milio-

nów dachówek, ponad 100 tys. ton żelaza budowlanego, ok. 2,5 milionów metrów sześciennych drewna cięskiego i stolarskiego, a więc takiej ilości materiałów, które np. w cegle przekraczały w ogóle roczną produkcję całego kraju.

Mimo takiego ogromu potrzeb, władza ludowa nie uległa się tego zagadnienia. Już w latach 1945-1949 wydatkowano na budownictwo wiejskie ze środków państwa, jak również ze środków własnych wsi, ogromną, nieporównywalną ze stosunkami przedwojennymi sumę ok. 1,8 miliardów złotych dzisiejszych na odbudowę zniszczonych wojennymi i popartych stanu budownictwa wiejskiego w Polsce. Co szóste wtedy gospodarstwo chłopskie w Polsce uzyskało nowe budynki.

W okresie Planu 6-letniego tempo budownictwa na wsi zostało znacznie przyspieszone, dzięki szybkiemu rozwojowi przemysłu (i zwiększonej dzięki temu ilości materiałów budowlanych) oraz szkoleniu w szkołach i na kursach większej ilości fachowców budowlanych, potrzebnych przy realizacji większego programu budowlanego.

Na potrzeby budownictwa wiejskiego Plan 6-letni przeznaczył sumę 9 miliardów 270 milionów złotych odpowiadającą im ilość materiałów budowlanych, z tego 5 miliardów 400 milionów złotych na budownictwo w spółdzielniach produkcyjnych oraz w drobnych i średnich gospodarstwach rolnych, a resztę na budownictwo w PGR-ach.

Nie jest więc prawdą, że buduje się dziś w Polsce na wsi mniej niż przed wojną, lub mniej niż we wstępnym okresie budowy. Buduje się dziś prawie trzy razy więcej niż w latach 1945-49.

Czy to znaczy, że jesteśmy w stanie, w okresie Planu 6-letniego, zaspokoić wszystkie pod tym względem potrzeby wsi? Całą naszą gospodarkę charakteryzuje nadmiar słusznych potrzeb, tak wielkie jest bowiem zaciągnięcie całej naszej gospodarki, które „zawdzięczamy” rządowi kapitalistów i obszarom. Ale właśnie po to, aby te słuszne potrzeby zaspokoić planowo rozbudowujemy nasz przemysł, główną dźwignię rozwoju gospodarstwa narodowego, i w okresie 11 lat, a więc w okresie Planu 6-letniego i następnego planu 5-letniego będziemy już w stanie podstawowe potrzeby w zakresie budownictwa wiejskiego zaspokoić w całej pełni.

W tej chwili największą uwagę zwrócić musimy, nie zaniedbując sprawy budownictwa mieszkaniowego i użyteczności publicznej, na budowę nowych i rozbudowę i naprawę starych budynków gospodarczych, związanych z produkcją a zwłaszcza z hodowlą. Jeśli bowiem w okresie Planu 6-letniego przybędzie na wsi ok. 500 tysięcy sztuk koni, ok. trzy miliony sztuk krow, ponad 4 mil. sztuk trzody chlewnej, kilkadziesiąt milionów sztuk drobiu itp., to rzecz jasna, ta znaczniejsza ilość inwentarza żywego wymagać będzie nowych pomieszczeń, zwłaszcza w spółdzielniach produkcyjnych (gdzie budowa rozwija się najszybciej), ale również i w drobnych oraz w średnich gospodarstwach chłopskich.

Abym jednak w okresie Planu 6-letniego wybudować więcej niż to przewiduje Plan 6-letni, bez uciekania się jednak do dodatkowych nakładów finansowych ze strony państwa i do naruszenia bardzo napiętych w okresie Planu 6-letniego bilansów deficytowych materiałów budowlanych (drewno, cement, okucia budowlane itp.), należy poważnie i na serio przystąpić do wykorzystywania w szerszym zakresie miejscowych, lokalnych surowców budowlanych: gliny, kamienia, żużla-betonu na spoiwie wapiennym (masowo dziś stosowanym materiale budowlanym w powiatach, zwłaszcza podgórskich, wzdłuż linii kolejowej Katowice — Przemyśl) oraz przystąpić do masowej produkcji, oszczędzających materiał, prefabrykowanych konstrukcji dachowych itp.

Przed Powiatowymi Radami Narodowymi otwiera się dziś widzące pole do pracy, aby przez szybsze uruchamianie lokalnych cegiełni, kurników, wapienników, kaflarni, wytwórni mat ze słomy, wytwórni dachówek cementowych i ceramicznych itp. przyspieszyć tempo budownictwa wiejskiego i stworzyć przez to lepsze warunki dla dalszego wzrostu produkcji rolnej, zwłaszcza dla rozwoju hodowli oraz dla poprawienia warunków życia mało i średniorolnych chłopów. Sprawa ta nie może być lekceważona i odkładana do lepszych czasów, gdyż posiada ogromne znaczenie dla dalszego szybkiego rozwoju produkcji rolnej na co plan 1952 roku zwraca tak wielką uwagę. Mimo bardzo napiętego planu inwestycyjnego, rząd doceniając tę sprawę budownictwa wiejskiego, przeznacza w latach 1952-53 znacznie większe sumy niż to przewidywały wytyczne Planu 6-letniego na budownictwo wiejskie. Trzeba aby tym wzmożonym nakładem ze strony państwa odpowiadał i wzmożony wysiłek w kierunku rozwoju budownictwa na wsi ze strony terenowych rad narodowych. Tylko wtedy stanie się zadość słusznym żądaniom licznych korespondentów wiejskich.

Stanisław Cieślak

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

O wielkości i bohaterstwie niemieckich antyfaszystów

NIEDŁUGO minie dwa i pół roku od powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Utworzenie NRD było faktem o ogromnej doniosłości w sytuacji międzynarodowej, było jak powiedział Stalin: „punktem zwrotnym w historii Europy”. Doniosłość tego faktu polegała przede wszystkim na tym, że we wschodniej części Niemiec — siłą polityczną panującą i kierowniczą stała się niemiecka klasa robotnicza, dowodzona przez swą awangardę Socjalistyczną Partię Jedności. Wskazany powyżej fakt decyduje o całej tej rozległej rewolucji — politycznej, gospodarczej i kulturalnej, która się dokonała u naszego zachodniego sąsiada po ostatecznej klęsce faszystów w maju 1945 r. W niemieckiej klasie robotniczej i jej partii widzą dzisiaj, i słusznie, główną siłę Niemiec antyfaszystowskich, demokratycznych i antyimperialistycznych. Częstość jednakże gubi nam się w czasowym oddaleniu, przytłoczony monstrualną grozą Niemiec ssowskich lat 33 — 39 i hitlerowskiego barbarzyństwa okresu okupacji — nieprzerwany, aktywny i walczący antyfaszizm niemieckich robotników a zwłaszcza ich najbardziej świadomą i bojową część — Komunistyczną Partię Niemiec.

Wydał przez Ministerstwo Obrony Narodowej listy antyfaszystów niemieckich — pisał przez niemieckich rewolucjonistów na krótko przed ich śmiercią, pod toporem, czy na szubienicy Gestapo — są zwłaszcza dla polskiego czytelnika cennym i ciekawym dokumentem — świadectwem, że lata 1933 — 1945 nie stanowią bieli, niezapisanego kary w historii walki niemieckiego ruchu rewolucyjnego z faszysmem. KPD oddała dziesiątki tysięcy swych ludzi tej walce, przypiętowanej męczeńską kaźnią w obozach koncentracyjnych, czy śmiercią pod kulami plutonu egzekucyjnego.

I ten fakt jest szczególnie wart przypomnienia polskiemu czytelnikowi, u którego częstokroć roztacza się w świadomości niemała próżnia, jeśli chodzi o walkę Niemców — antyfaszystów z Niemcami — faszystami w latach 33 — 45. Zwraca na to uwagę Kruczkowski, pisząc w przedmowie do omawianej książki:

„Czas najwyższy abyśmy sobie uświadomili, że antyfaszysty niemieccy prowadzili swoją walkę nie tylko o wiele dłużej, ale i w warunkach fizycznych, a zwłaszcza moralnie daleko cięższych, niż te, jakie mieliśmy walczyć i zwyciężyć w walce z faszysmem. Antyfaszysty niemieccy walczyli przeciwko faszystom do swoich towarzyszy: patriotów radzieckich, polskich czy francuskich nie czuli za sobą potężnego zaplecza masy swojego narodu,

gotowej udzielać mu pomocy, lub mógł je tylko niejasno odgadnąć, jako potencjalną możliwość, w duszach tych współobywateli, którzy ulegli fizycznemu, ale oparli się moralnemu terrorowi hitleryzmu”.

Jakie przyczyny złożyły się tu na brak owego szerokiego antyhitlerowskiego zaplecza, na szybkie i rozległe rozprzestrzenienie się hitlerowskiej zarazy ideologicznej nie będzie my rozpatrywać. Wspomniemy, że zasadnicze przyczyny leżą w notorycznej zdradzieckiej roli SPD i przywódców związków zawodowych oraz w pewnych błędach taktycznych i politycznych KPD.

Zwrócimy natomiast uwagę na jeden moment uwytyczony w przedmowie Kruczkowskiego, kiedy pisze: „...bohaterstwo antyfaszystów niemieckich miało jeszcze jedną dodatkową funkcję: bez niego w dziejach narodu niemieckiego byłaby jakakolwiek groźna luka, zerwane jakieś decydujące ogniwo rozwoju — przepaść nie do przekroczenia” — i zaakcentujemy wyraźnie i jednoznacznie, że lukę tę wypełniła jedynie i wyłącznie ta grupa antyfaszystów niemieckich, która albo sama należała do KPD, albo do postępowej rewolucyjnej demokracji, inspirowanej mniej lub więcej silnie ideami socjalizmu naukowego. Najliczniejszą, najofiarniejszą i jedynie konsekwentną grupę walczących z faszysmem stanowili oczywiście członkowie KPD. Tylko bowiem komuniści znający przyczyny powstania hitleryzmu, jego inspiratorów ideowych i materialnych, jego prawdziwe i ostateczne cele — mogli prowadzić walkę w pełni konsekwentną i aż do końca nieubłagana w stosunku do niemieckiego faszystu i jego źródeł.

Prawdziwą walkę z Hitlerem, aż do zniszczenia hitleryzmu, prowadzili wbrew głosom opłaczonych heroldów kapitalistycznej prasy, nie Goerdelerowie i von Stauffenbergowie, a robotnicy Hamburga, Bremy, Lipska, Berlina wraz z ich wielkim przywódcą, więźniem hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, Ernestem Thälmannem.

Kapitalistyczny fałszerz historii uśiłował w okresie wojennym roztargić i przydać barw bohaterstwa, wielkości i szlachetnego humanistycznego demokratyzmu — wielkokapitalistycznemu spiskowi Stauffenberga przeciwko Hitlerowi. Zamach Hitlera z 20 lipca 1944 r. przygotowany przez przemysłowców i bankierów — Ruhr, niektórzy koła arystokracji, admirała Canaris, szefa Abwehry i wywiad amerykański Allana Dullesa, dyktatora i radcy prawnego banku Schoedera

MIKOŁAJ GOGOL

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Umarł Gogol w zupełnej nędzy, wyczerpany walką duchową z szariatami religijnymi. O. Mateusz Konstantynowski. Mimo kilkunastu milicji, spowodowanych bezpłodną pracą nad dalszymi częściami „Martwych dusz”, przodującą część społeczeństwa rosyjskiego nie zapomniała pisać, od którego po raz pierwszy usłyszała, tak mocne, gorzkie słowa prawdy. Pogrzeb Gogola przeistoczył się w demonstrację apetyt. Jeden ze studentów na zapytanie, kogo chowają, odpowiedział: „Chowamy Gogola i wszyscy jesteśmy jego najbliższymi, a z nami jest jeszcze cała Rosja”.

Decyzją Światowej Rady Pokoju setna rocznica śmierci Gogola uczczona zostanie przez całą postępową ludność. Nasuwa to konieczność podjęcia próby wyjaśnienia na czym polega, na czym opiera się światowe znaczenie Gogola.

Burzliwe literaturoznawstwo dołożyło wielu starań, by zaprzeczyć samej możliwości takiego stawiania problemu. Kierując się określonymi celami klasowymi, usiłowano udowodnić, iż znaczenie poznawcze „Revizora” i „Martwych dusz” ogranicza się w najlepszym wypadku do roli dokumentu historycznego, mówiącego jedynie o rzeczywistości rosyjskiej, a raczej o pewnym jej wycinku czasowym, obcym rzekomo i niezrozumiałym dla nie-Rosjanina. Specyfiką narodową, która istotnie bardzo silnie zaznaczyła się w twórczości Gogola, usiłowano przeciwstawić „abstrakcyjnej, treści ogólnoludzkiej”, zapominając celowo o głębokiej prawdzie, wypowiedzianej już przez Bielińskiego, iż „oddziałość na co narodowe od ogólnoludzkiego znacząco popadła w najbardziej oderwany, najbardziej książkowy dualizm”.

Światowe znaczenie Gogola nie da się oderwać od znaczenia Gogola dla własnego narodu i w znacznej mierze opiera się właśnie na nim. „Dawno nie było już na świecie pisarza, o tak wielkim znaczeniu dla swojego narodu, jak Gogol dla Rosji” — pisał Czernyszewski. Wódz rewolucyjnej demokracji lat sześćdziesiątych miał na myśli nie tylko rolę Gogola w dalszym rozwoju literatury rosyjskiej, która dała światu naj-

większe z możliwych osiągnięć dziełniastawiecznego realizmu krytycznego. Literackie znaczenie Gogola jako wódza duchowego tzw. „naturalnej szkoły rosyjskiej”, z której, bezpośrednio czy pośrednio, wywodzą się wszyscy najwięksi pisarze Rosji, jest olbrzymie — niemniej znaczenia Gogola nie wyczerpuje jego rola w rozwoju literatury.

Twórczość Gogola stanowi cały etap w historii społecznej myśli rosyjskiej. Sformułowanie powyższe wygląda na nieporozumienie — przecież tragedia Gogola polegała na tym właśnie, iż myśliciel nie dorastał w nim do artysty, że co najwyżej on przed wnioskami wypływającymi z obiektywnej wymowy swego dzieła. Nie może to jednak zmienić ocy, „Martwych dusz” — wnioski, których nie wyciągnął z nich autor, wyciągnął Bieliński, Hercen i cała przodująca część społeczeństwa rosyjskiego. „Martwe dusze” stały się dla Rosji aktem samouświadomienia — „podobne obwinienie było niezbędne dla współczesnej Rosji” — pisał Hercen. — Jest to historia choroby naplatająca ręką mistrza. Poezja Gogola to krzyk przerażenia i wstydu, który dobywa się z pierśi człowieka, upadłego trywialnym życiem, gdy nagle zobaczy on w zwierciadle swą zdyktowaną twarz”. „Martwe dusze” odpowiadały na pierwsze, wielkie pytanie rosyjskiej myśli społecznej w XIX-tym wieku, sformułowane w tytule książki Hercena „Kto jest winien?” Odpowiedź, niezależnie od woli autora, padła jednoznaczna — zawiniła „nikczemna rzeczywistość rosyjska”, ustrój społeczny jako całość, trzeba go zmienić. Skonieczni się męczące poszukiwania winowajcy, stanęło nowe aktualne pytanie, klasyczne pytanie filozofii rosyjskiej — „Co robić?” Odpowiedź na nie dał najpierw Czernyszewski z pozycji rewolucyjnej demokracji, potem Lenin z pozycji socjalizmu naukowego.

Ojczyzna Gogola pierwsza zrealizowała program działania zawarty w naukowej odpowiedzi na ową dręczącą Czernyszewskiego pytanie „Co robić?” Naród Gogola wie dzisiaj co robić i wskazuje drogę innym narodom świata. Już tym samym znaczenie Gogola dla własnego narodu stało się znaczeniem dla całego świata.

Sformułowanie powyższe wskazuje jedynie na historyczne znaczenie

w Londynie, Hamburgu i Kotonii, banku, który już po zakończeniu wojny 1914 — 1918 udzielił znaczących subsydiów polskiemu koncernowi stalowemu Stinnesa i Thyssena — a w latach następnych był jednym z tych, którzy dostarczyli Hitlerowi funduszy na kampanię wyborczą i umożliwili mu tym samym zagarnięcie władzy w r. 1933 — był zamachem zorganizowanym przez niemiecką reakcję społeczną, niezadowoloną z niepowodzenia i błędów antybolsewickiej krucjaty Hitlera.

Był jeszcze jedną z nędżnych wielkokapitalistycznych machinacji, usiłujących przeszkodzić w niepowstrzymanym podłożu wielkiej Armii Krawu Socjalizmu. Był rozgrywką w faszystowskiej rodzinie — usiłującej za wszelką cenę zatrzymać upadek pasywnego kapitalu Niemiec.

Nie podobna zestawiać, na żadnej płaszczyźnie, tej ciasnej, niskiej i egoistycznej walki eksploratorów — z wielkim i bohaterkim patosem wieloletnich zmagani niemieckich rewolucjonistów z hitleryzmem. Ci ostatni oddawali tej walce cały siebie, rezygnując ze szczęścia osobistego, z miłości żon, matek, dzieci — nie dla własnego interesu czy wyimaginowanej abnegacji, nie dla żadnych metafizycznych celów — a dla zapewnienia trwałego, prostego, zwyciężającego szczęścia milionom zwykłych, prostych ludzi, robotnikom i chłopom, jak oni sami.

Te postawy, wielkiego w swej zupełnej i szczerzej prostocie bohaterstwa, przenikające zresztą całość treści recenzowanej książki, odczytujemy wyraźnie z przedśmiertnego listu Fiete Schulze’a, robotnika portowego z Hamburga, członka KPN, straconego dnia 6 czerwca 1935 r., w wieku lat 40. W liście do siostry pisze:

„Dziękuję za twój list. Ale skąd ta młodość? Wykazasz, że zabierają ci brata. Czy nie rozumiesz, że umieram właśnie po to, aby inni nie musieli ginąć przedwczesną śmiercią? Teraz jeszcze tak nie jest, ale moje życie i śmierć przyczynią się, by kiedyś było lepiej na świecie. Nie po winniście opłakiwać mojej śmierci — gdybyście nade mną płakali, to znaczyło by, że moje życie było chybione a śmierć bezużyteczna. Jeżeli rozumiecie sens mego życia i śmierci, to będzie znaczyło, że osiągnęłam swój cel w pełni. Starajcie się mnie nie tylko zrozumieć, ale i iść w moje ślady: niech na tym polega wasza miłość i pamięć o mnie. Pamiętajcie, że kolo historii nie da się pociągnąć wstecz. Ludzie zrozumieją wkrótce i to, że to kolo nie da się nigdy zatrzymać”.

Ofiara życia Fiete Schulze’a i tysięcy jego towarzyszy nie została zaprzeczona. Niemiecka Republika Demokratyczna — pod kierownictwem SED realizuje cel walki straconego w 1935 roku hamburskiego robotnika: socjalizm.

Władysław Leszczyński

*) Nieuigiet — Listy antyfaszystów niemieckich, MON, 1951.

Nasze rozmowy

Nowe „typy” spółdzielni...

W dwóch tylko pierwszych latach realizacji Planu 6-letniego wzrost zatrudnienia w zawodach pozarolniczych wyniósł ok. 1.200 tys. osób, a więc więcej niż wyniosło zatrudnienie w całym przemyśle Polski kapitalistycznej.

Korzysta z tego dziś głównie ludność małych miast i miasteczek (gdzie istniały przed wojną ogromne rezerwy siły roboczej) oraz wieś, zwłaszcza przeludnione wsie woj. krakowskiego, kieleckiego, rzeszowskiego, lubelskiego, łódzkiego itp. Większość bowiem tych ludzi stanowiła mała rodzina i członkowie ich rodzin.

Większość tych nowych robotników nie zrywa z rolnictwem, traktując swą pracę poza rolnictwem, jako dodatkowe (często sezonowe) zajęcie. Ułatwia takie podwójne zarobkowanie fakt, że nasz szybko rozbudowujący się przemysł potrzebuje dziś głównie ogromnej rzeszy robotników niewykwalifikowanych (zwłaszcza budowlanych). W miarę jednak uruchamiania produkcji w wybudowanych fabrykach, które wymagać będą wykwalifikowanych, oddanych całą duszą swemu zawodowi, fachowców, w miarę rozwoju budownictwa mieszkaniowego w ośrodkach przemysłowych ten typ pracownika zatrudnionego jednocześnie w przemyśle czy budownictwie oraz w rolnictwie, będzie niewątpliwie zanikał.

Obechna jednak sytuacja jest źródłem pewnych, przejściowych trudności. Dwoistość źródeł zarobkowania odbija się ujemnie i na wynikach w gospodarce rolnej i na wydajności pracy w przemyśle. Wydawało by się również, że wpływ musi hamujący na rozwój spółdzielczości produkcyjnej na obszarach silniejszego uprzemysłowienia, gdyż chłop małorolny (niesłychanie cenny i pełen inicjatywy element, bez którego nie ma dobrze pracującej spółdzielni produkcyjnej), jeśli dorabiają dziś w przemyśle, to mimo niewątpliwych sympatii, często nie agituja za jej założeniem, wiedząc, że sami nie są w stanie dać w spółdzielni, określonego statutu, minimum pracy w wysokości 100 dniów.

W związku z tym otrzymujemy wiele listów od działaczy terenowych i chłopów z okręgów silniej w okresie Planu 6-letniego uprzemysławianych, a więc z woj. rzeszowskiego, krakowskiego, kieleckiego, katowickiego i in., bądź z propozycjami zmiany tego artykułu w statutach spółdzielni, bądź jak od kol. Jelonka z Porąbki z propozycją nowego typu spółdzielni hodowlanej, polegającej na uposażeniu gospodarce łakami w terenie górniczym.

Jakiś sobie radzą w tych warunkach, chłopi pragnący założyć spółdzielnię produkcyjną?

Oto spółdzielnia III typu pod nazwą „Jutrzenka” w Bolesławie, powiat Chrzanów. Większość małorolnych chłopów z Bolesława pracuje na budowlach i w zakładach przemysłowych Trzebnici, Chrzanowa, Krakowa. Ale spółdzielnia mimo to założono, gdyż do jej organizacji wzięły się energiczne kobiety, na których barki spadły (wobec nieobecności na wsi ojców i mężów) wszystkie prace rolne, i które nie mogąc sobie dać rady w pojedynkę znalazły wyjście z trudności właśnie w przejściu na zespolony sposób gospodarowania na roli. Przedwodniczą spółdzielni jest ob. Tekla Działo. Jako najdziesiętniejsze pracownice i filary spółdzielni wyróżniają się ob. ob. Jarczyk Julia i Magdalena Bula. Obecnie nie zaniedbują upraw roślinnych dzielnie spółdzielczości z Bolesława nastawiają swoją spółdzielnię na hodowlę. Mają już 8 krow, buhaj, 3 cielaki, 8 owiec i 13 sztuk trzody chlewnej, nie licząc inwentarza na działkach przyzagrodowych.

Inaczej poradziła sobie mało i średniorolna chłopi z Wilamowic, pow. Cieszyń. Z początkowych białoleń i utyskiwań, że to dzieci uciekają z gruntu, „że nie ma kto robić”, „że trudno starym, których już inny, nowy zawód nie pociąga, obrobic, tak jak należy, swe gospodarstwo a nie dopuścić do ich upadku” itp. — narodził się pomysł założenia tak potrzebnej, w bliskości wielkoprzemysłowego Śląska, spółdzielni sadowniczej.

Spółdzielnia w Wilamowicach liczy 20 członków i pracuje na 73 ha. Zanim za kilka lat stanie się wielkim kombinatem sadowniczym, jest już dziś jedną z poważniejszych w kraju „fabryk drzewek owocowych”. W jej jęseni 1949 r. i na wiosnę 1950 r. posadzono wspólnym wysiłkiem pierwszych 300 drzew owocowych — karłowatych odmian odpornych na mróz. W roku 1951 zaszczycono 20 tys. drzew, zasadzono 100 tys. podkładów do okuliżowania, założono sad doświadczalny, złożony z ok. 250 odmian gruszy, śliwy, jabłoni, czereśni itp., sprawozdanych bądź z innych części kraju, bądź z ZSRR i Kanady, oraz zorganizowano ogród warzywny.

W jesieni 1951 r. nowa spółdzielnia mogła już sprzedać 25 tys. drzewek owocowych, 30 tys. sadzonek truskawek, 10 tys. krzewów porzeczki, agrestu, malin, winorośli itp. Przy spółdzielni rozwija się pasieka, licząca już ponad 40 pni oraz chlewnia i obora (gdzie wykorzystuje się przy żywieniu inwentarza odpadki z sadu i ogrodu warzywnego) oraz ferma drobiu.

Oto jak nie czekając na wyraźne wykrystalizowanie się struktury zawodowej kraju, radzą sobie chłopcy mało i średniorolni z okolic, w których i na wsi zaczyna się odczuwać wyraźny brak rąk do pracy.

Andrzej Walicki

Wojciech Scibor

Gazetka gminna

Chcę mówić o prawie zrzeszania się...

Było to w roku 1932, kiedy to młodzież naszej gromady postanowiła zwołać zebranie, żeby omówić sprawę zrzeszenia zabawy. O tym dowiedział się proboszcz, zwołał młodzież do siebie na plebanie i powiedział, że zabawa i zebranie urzędów nie wolno, dziewczętom zagroził, że nie otrzymają ślubu kościelnego, chłopcom zagroził kłatwą.

Innym razem chłopci naszej gromady postanowili wybudować świetlicę, w tym celu zebrali wspólnie materiał i tylko przystąpić do budowy, ale świetlice nie wybudowano. Dlaczego? Bo chłopci nie chcieli świetlicy „imienia Józefa Piłsudskiego”, a obszarnik i ksiądz razem z BBWR nie pozwolili innej budować.

Fakty te świadczą wymownie, że panowie i z nimi związany kler i ich służby z BBWR nie chcieli dopuścić narodu do zorganizowania się, aby mogli lepiej zakreślić leś ciemnemu chłopu, wprowadzić w bagno niezgody i nieświadomości, by „jasnie pan” mógł dobrze łupić ostatnią skórę z chłopów. Tak było w kapitalistycznie - obszarniczej konstytucji.

Dziś w nowej socjalistycznej Konstytucji jest zupełnie odmianna, obywatel ma prawo zrzeszania się i działając u nas PZPR, ZSL, ZSCh, KGW i inne organizacje, są organizacje sportowe i inne, jest świetlica, radio, boiska sportowe, jaka ogromna różnica a tylko przez krótki czas władzy robotniczo-

chlopskiej, która przeciw budowy świetlicy zainstalowania radia w świetlicy, rozwoju sportu, zrzeszenia się ludzi w organizacjach, nie tylko nie zabrania, jak to było przed wojną, ale przeciwnie, bardzo gorąco i szczerze popiera.

Ja, widząc sprawiedliwą politykę naszego rządu mając zaufanie do partii, wstąpiłem do Polskiej Partii Robotniczej w r. 1947 i od chwili wstąpienia do chwili obecnej pełnię zaszczytne stanowisko sekretarza Podst. Org. Part. Partia otworzyła mi oczy na całą gospodarkę kraju, wyrobiła we mnie światopogląd bojownika w walce ze wściznictwem i wyzyskiem kulaków, na których musiałem niegdyś pracować od nocy do nocy. Dlatego PZPR jestem bardzo wdzięczny, że wyzwoliła mnie z kulackich kleszczy wyzysku, dała mi możność podniesienia mi stopy życiowej i dzisiaj, jako gospodarz, pomimo, że jestem sam w domu, jednak pracy politycznej i gospodarczej nie zaniedbuję i staram się być przykładem i podążać innych za sobą. W 1952 r. już połowa gromady ze mną współzawodniczy i ostatecznie wątpię w to, czy utrzymam się jako przodownik.

Wniosek stał, że dobrze pracująca organizacja podstawowa, to dobra gromada i zadania przed nią postawione nie będą trudne do wykonania.

Bawolek Mieczysław
Grom. Siedliska, pow. Gorlice.

Kultura wspiera gospodarkę

Po przeczytaniu projektu Konstytucji, to zaraz się czuje, że to jest Konstytucja nasza, dla ludu, a tym ludem jesteśmy przecież my. Każdy artykuł jest głęboką treścią, ułożony z myślą dla nas ludzi pracujących, z troską o nasz byt. Jednocześnie daje nam ochronę, jakby dobroitliwie skrzydła nas otaczały, nie dopuszczając do wyzysku, likwidując zacofanie, a wyzwala siły twórcze ludu.

Konstytucja ta, to już nie projekt to rzeczywistość, ona już weszła w życie. Jest wyrazem naszej woli. Konstytucja ta, to moje, to nasze codzienne osiągnięcia.

Nie tylko daje nam wolność, ale i popiera nas w różnych formach ruchu spółdzielczego (art. 11), daje pomoc, opiekę i ochronę, otacza opieką przodowników pracy, zapewniając im powszechny szacunek narodu. Obecnie mam warunki do wysunięcia się na czoło przodowników pracy i dać dla mej ukochanej Ojczyzny owoc mojej wydajnej pracy w postaci wysokiej produkcji. Mam możność pracować nad nową metodą wyhodowania ziemniaków nie zakazających się chorobą wirusową, co z kolei da wysokie plony, nad nowym sposobem czasu siewu buraków cukrowych, oraz w innych działach produkcji rolniczej, w których już osiągnąłem wysoką wydajność, co przez doskonalenie metod

pracy wzmacnia siłę i potęgę naszej Kochanej Ojczyzny i podnosi dobrobyt narodu.

Art. 72 zapewnia nam prawa zrzeszania się. Sam organizowaliśmy zrzeszenia spółdzielcze Zw. Sam. Chł., których jestem członkiem, oraz należę do ich władz i mam możność wpływania na załatwianie spraw i poprawę warunków życia i pracy, nie tylko w swojej gromadzie, gminie, ale i w całym kraju. Przez założenie Gm. Spółdz. zabezpieczyliśmy się bowiem od wyzysku spekulacyjnych cen i zapewniliśmy sobie otrzymywanie dobrych towarów.

Jeżeli mi wolno wnieść uzupełnienie do projektu Konstytucji, to podaje dopisanie do art. 62 punktu 8-go: Zapewnia się budowanie domów kultury na wsi.

Motywuje to tym, że przy braku jeszcze na wielu wsiach domów ludowych (kultury) nie ma możliwości urzędowania tam jakichkolwiek imprez kulturalno - oświatowych, zebrani lub pogadanek naukowych na tematy hodowlane, uprawowe itp. Referenci zawsze by się znaleźli, lecz nie ma gdzie takiej imprezy urządzić. Szczególnie dużo daje propaganda filmowa. Z braku takich świetlic wyrugowanie zacofania ze wsi staje się trudne.

Feliks Zadębski
wieś Imielno, pow. Jędrzejów.

Pierwsze listy

Podsunałem mojemu przyjacielowi, sekretarzowi PKW - ZSL pewien, wydaje mi się, cenny pomysł.

Skoro chłopci zaspisują listami redakcje gazet, czy niecelowałoby byłoby również stać korespondencją pomiędzy Powiatowym Komitetem ZSL-u a działaczami z gromad i gmin? Wysunąłem dwa argumenty 1) zanim się chłop wybierze do powiatu, zanim instruktor, czy członek PKW przyjedzie na wieś, listy zrobią już niemało. 2) W ten sposób sposób zacięcia się i utrwalili bezpośrednia więź organizacyjna między działaczami.

Mój przyjaciel projekt pochwalił i podjął pierwsze próby. Co prawda wiele sobie trudu nie zadał. Stanął nad maszynistką i podyktował - 8 bibulek na walek, a teraz pisac, co następuje. „Co tam u Was słychać, Drogi Kolego? Dawno już u Was nie byłem. Wy także samo u nas. Toteż napiszcie jak Wam idzie robota, może macie coś pilnego i ważnego? Piszcie tak po przyjacielsku, od serca i co macie na waga! Bóg! Zaadresować na A. Piątkę, G. Kwiór, A. Kościę. W. Praszczkę, J. Koniaka itd. Nie oponowałem, lepszy rydz jak nie.

W ubiegłym tygodniu pokazał mi przyjaciel pierwsze odpowiedzi. Andrzej Piątek pisał. — U nas słychać... głośniejszy, zagraly w naszych Bećkowicach i Trzeptnicy. Jak się idzie teraz przez wieś słychać z każdego domu komunikaty i pogadanki. Tak u nas głośnie, jak w jakim mieście. Jeden tylko Adamus Jan bagatelizuje sobie radość, pomimo, że kształci córkę w Liceum Rolniczym i państwo daje mu pomoc w tym szkoleniu...

Genowefa Kwiór — Z serca to chcę Wam donieść, że w pałacu, w którym rezydował pan baron Konopka, teraz na resztkach zaczął się kurs specjalistów sanitariuszy weterynarii. Osiągnę tam i nasze dzieci, które przed wojną poganiały karbowy, a pan baron dawał im rękę do uczenia. Bo jakby nie pociągnął który, tracił zaraz pracę...

Antoni Kościę — wiecie przecie, że w lutym 1951 r. nasza gromada Odmet podjęła w gminie współzawodnictwo w odstawie mleka. Ale jak się

zakończyło, tego jeszcze nie wiecie. Za cały rok wykonaliśmy 150 proc. i zajęliśmy pierwsze miejsce. Największe mleka — zanotujcie se to — dostarczyli matorolni, na czele z Władysławem Warcholem. Ustawę rządu o premiach za dostawę mleka w okresie zimowym przyjęli chłopcy w Odmetcie z zadowoleniem. A pasze treściwe i tekstylia przyszły i dostaliśmy...

Janusz Koniak — Nie wiem, jak gdzie indziej — sprawdźcie, bo to ważne! — U nas zimowy gromadzki kurs rolniczy dobrze się postawiony. Wierzbiciele mogą świecić przykładem. Dwa razy w tygodniu pełna sala gospodyń i gospodarzy, a także zetem-powców. Na stole mikroskop, preparaty, stoiki z naważkami sztucznymi. Wykłada kierownik szkoły, oprócz kierownika jest dyskusja. Chłopcy robią sobie notatki i proszą o pożyczkę broszur do domu. Myślimy zrobić zbiorę i zakupić dla każdego, co go interesuje...

Władysław Praszczek — Ruszam, jak mogę Kolo Gospodyni, mówię im na zebraniach, że kobieta jest Frontem Pokoju i wzięciem pracy społecznej, może dlatego dużo, zrobić dla ludzi pracy i Polski Ludowej... A w związku z tym odważam się prosić, aby nam kredytów udzielono na remizę, bo sufit przecieka i z salą na świetlicę nie dobrze całkiem. A jeszcze dwie prośby — o zbiór sztuk do przedstawień i może byśmy dostali lekarstw po niskiej cenie do Apteczki, co ją mamy w gromadzie...

Uderz w stół a nożyce się odezwą. Zadał mi się mój przyjaciel. Odpowiedzi jeszcze sztywne. Jeszcze lody nie przełamane. Ale i list sekretarza był oficjalny i ogólnikowy. Honor działacza na gromadzie kazał mi odpowiedzieć „pięknie, ładnie u nas, bo np...”

Mój przyjaciel rzekł mi na pożegnanie — teraz już bym wiedział, o co zapytać każdego z tych, co mi odpisali. Proba zaczęta. Należy ją upowszechnić, poddać usprawnieniu. Czekamy na ulepszenia, propozycje i przedstawienie Waszych prób Czytelnicy i Koledzy Sekretarze!

Jan Kurzołka

BRONISŁAW CHĘCINSKI O PEWNYM KACYKU

W Nowosadulach jest taki kacyk, który zastępcę sobie wyznaczył. Zastępcą znowu zastępcę ma, robić nikt nie chce, a robić trza.

Kacyk powiada, u mnie na głowie skupia się ciele ważnych spraw mrowie, które tu trudno jest mi wyliczyć, dość, że pilnuje spraw zasadniczych.

Zastępcą z głową chodzą do góry, lecz go nie można nazywać gburum, nie odpowiada, bo nie ma czasu, on co główniejsze troski wziął na się, a do spraw zwykłych zastępcę ma, co urządzić jak swych pięć palców zna.

I znowu zastępcy ważny zastępcę się od roboty stanem wykrecą, od spraw załatwienia chronię go Boże, on w urzędowym chodzi splendorze.

Więc po urzędzie petentów cienie, snują się długim sznurem codziennie i zapuszczają ciekawe oczy w okienka, w których pustka wciąż gości. I utyskuje petentów rząd, że urządzi w pracy popelnia błąd.

No i pracując ciągle tym stylem, gmina wśród innych gmin stoi w tyle i z podatkami i z kontraktacją, z FOR-em, z Pożyczką, ze skupu akcją.

Rzekomo w „ważnych” tkwiąc spraw rejestrach, ktoś obowiązków codziennych nie zna. Trzebaż tu szukać przyczyn tych, owych? Wszystkiemu winien styl kacykowy. Styl kacykowy wpływa stał, że gość na siebie ma tylko wzgląd.

Lecz, gdy go wreszcie zdejmą z urzędu, wyjdzie, że nie miał na siebie względu.

Z uzdrowiska Cieplisce-Zdrój

„Jako listopadowy turnus (rok 1951) tego sanatorium złożony prze-ważnie z górników, stwierdzamy wszyscy zgodnie, iż dotychczas wśród personelu sanatoriów i domów czasowo-pracowniczych nie spotkaliśmy zespołu ludzi na tak wysokim poziomie, jak ma to tutaj miejsce...”

„Wracamy po kuracji zdrowi i silniejsi. Nie zapomnimy dzielnej postawy personelu tutejszego sanatorium, a w dowód wdzięczności damy więcej węgla i koksu naszej Ludowej Ojczyźnie”. (Pod spodem umieściło swoje podpisy wielu górników).

Górnicy, robotnicy i chłopcy — piszą w tej książce prozą, wierszem — jak kto potrafi, a treść ich, to słowa dzięki personelowi i Polsce Ludowej za troskliwość opiekę, której doznali w „Białym Domku” Sanatorium.

Zgadza się z wypowiedziami kuracjuszy, ale nie zgadza się z ilością skromnych notatek w grubej książce „Kroniki”.

Leżąc do ludzi po kuracji w uzdrowisku odzyskało zdrowie — ten największy skarb człowieka? Przyjeżdżali chorzy, a wracali zdrowi, przyjeżdżali pokoleśniami, a wracali prości, przyjeżdżali z piętnem cierpienia na twarzy, a wracali z uśmiechem. A przecież wiemy, że za czasów rządów sanacyjnych w Polsce tak robotnik, jak i chłop — nie wiedzieli nawet co to jest uzdrowisko, bo w uzdrowiskach robotników i chłopów nie było.

Moja biedna matka, która przez całe życie ciężko pracowała, a „styrana” pracą, zgnębiona okrutnymi warunkami życia — zachorowała na puchlinę wodną i cztery lata spędziła obłożenie chora. Mieszkanie było jednoizbowe, a więc spełniała jednocześnie funkcję kuchni, pokoju jadalnego i sypialni. Proszę sobie wyobrazić okropne warunki — chorego i zdrowych... Matka była tym prawdziwym „Lazarzem”. Całe plecy, pośladki i nogi były w ranach. Cierpiała i z płaczem przeklinała swoje życie, a będąc bardzo religijną, wymawiała: „Po cóż Boże, mnie „Lazarza” trzymasz na tym świecie, po cóż ja się męczę tak bardzo?”

Bracia górnicy, robotnicy różnych zawodów, chłopcy, inteligencja pracująca, gdy jesteśmy w uzdrowisku na bezpłatnym leczeniu — piszmy do „Kroniki” tego uzdrowiska, piszmy — materiał mamy dużo. Piszmy również do Polskiego Radia, do redakcji gazet.

Marcinek Bronisław

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

W Wilczych Łaskach



Rys. St. Gierowski

HISTORIA, którą zamierzam opowiedzieć, jest najzupełniej autentyczna. Każdy z Was, drodzy Czytelnicy, może przecież pojechać do małej wioski Wilcze Łaski, aby sprawdzić moją prawdę. — A jak tam już będzie, niechże najpierw odwiedzi strapionego chłopca Kustykę, znaną w okolicy ofiarę elektryfikacji.

Rzecz się oczywiście od elektryfikacji nie zaczyna, nie od razu też na Kustykę spadło tyle kłopotów. Wprost przeciwnie — był spokojnie i pracowicie a w ubiegłym roku wyróżniono go nawet orderem za sumienne wykonywanie obowiązków wobec Państwa. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy szczylił się przed wsią odznaczeniem — pojawił się w okolicy specjalist od elektryfikacji. Kustyka w formalnościach nie tegi — ani się nie obejrzał, jak mu do podatku gruntowego jeszcze coś niecoś za to światło dopisali. Placił sumiennie, konia urobił, zwożąc stopy ze stacji kolejowej, odległej o 10 km. Podobnie chłopcy z Łasek.

Niebadane są jednak wyroki powiatowych instancji! O gdybyż to mógł, Kustyka i jego sąsiadzi prze-widzieć trudności, jakie niebawem nastąpiły! Do planu wpisano tylko „Wilczą” część wioski, Łaski wyłączone, ponieważ leżały o 500 m od głównej linii elektrycznej, a więc za daleko, jak na wymagania PRN w Szczecinku.

Kustyka, uparty chłop nie mógł — podobnie zresztą, jak inni — dorożować sobie robocizny i owego dopisku

do podatku gruntowego. Zaproponował więc Łaskom, żeby się zwrócili do kierownika GS-u o pomoc. Zawieszę to miejscowi, o honor wsi będzie mu chodzić. Pan Ostrowski chłopów przyjął, obejrzał transformatory i oświadczył następnie, że jak się da, to się zrobi! Oj, dano się, dano! Kustyka, Wawrzonek, Kiszewski, Hadad i inni dali najpierw chyba ze trzy setki. Nie pomogło. Za taką cenę — usłyszeli od Ostrowskiego — najwyżej pismenko do powiatu.

Ponieważ cała nasza historia do gruntu jest prawdziwa, musimy uchylić rąbką tajemnicy, choć to zapewne w poważnym stopniu skompromituje naszych bohaterów z Łasków w oczach władz powiatowych, a kto wie — może i wojewódzkich. Późnym wieczorem (jakie to szczęście, że elektryczności nie było!) zajechał pod dom pana Ostrowskiego wyładowany wóz, a na nim — piękna i jak może się na miejscu dowiedzieć — zakontraktowana świnka. Rezultaty pokazały się niezwykle szybko.

Kustyka — on to bowiem był motorem walki wsi Łasków o światło — promieniast, kiedy zaraz po żniwach pojawiła się brigada robocza i rozpoczęła wkopywanie słupów. Ogólnej radości nie przesłonił fakt, że umieszczono je podejrzanie daleko od drogi, w polu, co znacznie utrudniało jesienią orkę. Trzeba ją było dokonywać kołmi i plugiem, ponieważ POM nie dał traktorów na rozkopane i przepalone linie słupów rżyska.

I tu można by całą historię zakończyć a małe Łaski łaskawie wyposażone w elektryczne światło. Cóż, kiedy życie okazało się znacznie bogatsze niż fantazja autora.

Wkopaliśmy słupy i czekamy na światło. Coś tam w powiecie nawaliło, trzeba znowu posmarować — nie bój się, na Łaskach same przodujące chłopcy, a jeden z orderem, nikt was nie posądza nie będzie. Zajężdża pod wieczór — zakomunikował pan Ostrowski.

Oto rozpoczyna się akt drugi. Co się stało z Wawrzonkową świnią i warchlaczkiem Hadadą — nie wiadomo. Nie wiadomo także dlaczego niebawem zjawia się na polach ta sama brigada robocza, która w ponurym milczeniu wykopała wszystkie słupy i wywoziła je samochodami w niewiadomym kierunku. Chłopom oświadczone, że elektryka przyjdzie tu ale z innej strony. A kiedy zrozpaczeni pobiegli do Ostrowskiego było

już zapóźno. Wyjechał na 10-ty w swojej karierze, kurs dokształcający. Jak dotąd — jeszcze nie wrócił. Pozostało po nim powiedzenie, bardzo zbliżone do gogolowskiego, chociaż nikt tu niestety „Martwych dusz” nie czytał: w naszych Wilczych Łaskach jeden urzędnik był porządny a i to świnią.

Koniec historii? I tym razem jeszcze nie. Nasza historia nabiera z kolei szerszego, bo aż powiatowego rozgłosu. Jakoś jesienią, po najpilniejszych robotach — wyruszyli chłopcy z Łasków do elektryków w Szczecinku; tu usłyszeli, że słupy się odnalazły, a elektryczność istotnie przyjdzie do wsi z innej strony, gdzieś koło Bożego Narodzenia. Nie przyszła. Nie na elektryki świat się kończy — powiedzieli sobie zwolennicy żarówkiowego światła — trza nam do PRN, bo to jest władza od elektryki. Tylko tym razem bez łucz-ników.

Zapomnieliśmy, nieco brakiem światła w Łaskach zaabsorbowani, dodać, że i w elektryce bez smarowania się nie obyło. Tym razem świadczył głównie Miszewski.

W PRN przyjęto ich z miejsca, zapewniono od razu, że odpowiedź szybko nadejdzie. Biedny Kustyka! Iż drwin musiał znieść za propagowanie kumoterskich metod załatwiania.

Pismo nadeszło istotnie nad podziw szybko. Nosilo dumnie Nr. Pla-1-14-51 i zawiadywało urzędowo, że w Łaskach światła nie będzie, bo nie przewiduje plan. I tak to po wielu kłopotach sprawa została załatwiona.

Nie koniec jednak czytelniku, o nie! Jeżeli do Wilczych Łasków zawitasz, aby moją prawdziwość sprawdzić — nie zdziwi się widokiem, jaki się w kolonii Łaski uderzy. Oto, co wiecór sznur pochylonych chłopów szuka ze świecami w rękach takiego urzędnika, któryby im sprawę elektryfikacji pomyślnie rozświetlił. A kiedy bladej — Kustyka, Hadada, Wawrzonek, Miszewski — po nieprzespanej nocy, zderzeni po obejści całej gminy zajrzą ci rozpaczliwie w oczy — przekonasz się, że w całej historii nie napisał nie nieprawdopodobnego. Jest to prawda o Wilczych Łaskach, Wilczych, drodzy Czytelnicy, czyli o ostatnich wilczych dotach w powiecie Szczecinek.

Wiesław Jażdżyński

TADEUSZ SŁUPECKI

Kobyłka u płotu (Przedwojenny obrazek)

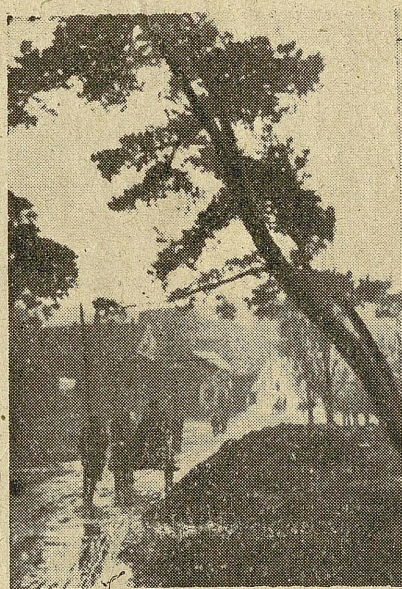


Foto Cz. Swirta

PRZEZ największy z trzech rynków, leżący tuż obok kościoła św. Pajnucego w Wilnie, Kobyłka. Był to młodzieniec rozrosty, a przy tym wielce nieśmiały. Wiodło mu się bardzo kiepsko, gdyż gospodarował na jednym zaledwie hektarze piaszczystego gruntu, dorabiając wozem, którym w każdy dzień targowy wioził z odległej o 6 kilometrów stacji kolejowej, babę handlującą nabiałem aż do odległej Łodzi. Miał mizerną chałupkę tuż przy cmentarzu, starą matkę, brata i trzy siostry równie bogate, jak on, wskutek czego nie mogły jakoś znaleźć w osadzie mężów, aczkolwiek szukały nader gorliwie i wytrwale. Tej tylko gorliwości zapewne zawdzięczać należy fakt, że najmłodszy z nich urodził się tegi nawet chłopak, kurek w kubek podobny do organisty od św. Pajnucego, który jednak do niczego się nie przynajęcał nadal w każdą niedzielę chwalił Boga na sumie, a stan kawalerski wieczorem.

To, że młodzieniec, którego nie-wątpliwie krępe określenie nazbyt lapidarnie słówkiem „rozrosty” — był przy tym wielce nieśmiały może

zadziwić niejednego z czytelników. Ale czy który z was próbował nazwać się Wiciusem i to Kobyłką i w dodatku w zapadłej miejscinie drobnych rzemieślników, handlarzy jarmarcznych i dewotek, gdzie sąsiad widzi cię 30 razy na dzień? Nie dziwimy się więc, że Wiciuś cierpiał z powodu swego nazwiska głęboko. Największą jednak udręką były dla niego dni targowe. Ledwo Wiciuś, bywało, wie-dział ze swym wozem na rynek, a tu już urwisy wityńskie prowadzą obcego chłopca, który nie przezwyciężając podstępnie pyta go ku uciesze gawiedzi rynkowej o tę „kobyłkę na sprzedaż”.

Ale stan duchowy Wiciusia cierpiał nie tylko od wybrków zafundowanej dzieciarini. Gorzej było z dziewczętami. Te wityńskie skromnisie, z których wiele ćwiczyło wytrwale cnotę pobożności w jednym z 9 istniejących w miasteczku bractw religijnych, korzystając ze swej przewagi lubity nieraz zastanawiać się w obecności Wiciusia nad tak frapującym zagadnieniem jak to, czy kobyłka może być męczyzną? Problem ten pozostał na razie, nierozwiązany, bo choć dotknęły w swej ambicji młodzieńczej wykazywał gotowość złożenia dowodów — żadna z wątpliwych nie decydowała się, skoro, jak mówili, chłopak ten, wielce poczyty i krępy, posiadał dwie fatalne skazy: śmieszne nazwisko i liczną rodzinę na jednym zaledwie hektarze gruntu...

To co powiedzieliśmy powyżej nie oznacza, że Wiciuś nie myślał o wyjściu ze swej ciężkiej sytuacji, zwłaszcza iż miał siedem gęb do żywienia. Nieraz zamierzał spróbować robotniczego chleba w dalekiej i negującej Łodzi, ale wracał zawsze przegrany.

Raz też zapłonał przyszłowiowi „gwałtowną miłością” do córki właściciela najpokaźniejszego w Wilnie domu i sklepu. Ten wielce szanowany przez spór część obywateli Witynia restaurator zajmował się rozpiciem okolicznych chłopów. Jego córka zaś — warto to podkreślić z pełnym obiektywizmem! — była całkiem pełną jedynaczką, gdyż oprócz nieporównanie młodszego i czcigodnego taty została nieźle wyposażona przez samą naturę.

Skorosmy aż tak daleko zabrnęli w rozważaniach, nad przedmiotem po-ządać Wiciusiowych, nie od rzeczy będzie nadmienić przy okazji, że panna Aniela była właśnie jedną z najczystszych inicjatorek owych budujących dysput na temat Wiciusiowej męskości i traktowała go dotąd z obojętnością, przynoszącą zaszczep jej cnotę, a także stałości w uczuciach. Wypada bowiem jeszcze dodać, że panna Chudogębska, która dzięki wpływowi znanego ojczulka pracowała od roku w drogerii przy wielce skomplikowanej pracy umysłowej, polegającej na nalepianiu etykiet na słoiki i flaszeczki — posiadała narzeczonego. Owym szczęśliwym wy-brancom był sam naczelnik poczty w Wityniu, osoba dość wysoko stojąca w hierarchii miejscowej inteligencji.

Niestety, naczelnik poczty, okazał się w młodości zawyżnioną świnią, bo dwa tygodnie temu ni z tego ni z owego zerwał z piękną Anielą i zaręczył się z niedawno do Witynia przybyłą młodą nauczycielką. Ślub młodej pary miał się odbyć właśnie jutro... A panna Aniela, tak przebrakowano, znalazła się jak „kobyłka u płotu”.

Taka była sytuacja w Wityniu w dniu, w którym — Wiciuś — Kobyłka szedł brzegiem szerokiego rynku, pozornie — dawałoby się — bez celu. Było sobotnie popołudnie. Między niskimi, w większości drewnianymi domkami, gdzie żyło, kochało się i przeważnie handlowało dwa i pół tysiąca mieszkańców Witynia, panował teraz przedświąteczny ruch. Babę w zadartych kciach szorowały pracownice progi domków, wylewały brudną wodę na wyboiste jezdnie. Na wąziutkich chodnikach jawiły się pierwsze narzeczeńskie pary.

I otóż w tej przedświątecznej porze pod jednym z trzech kościołów, natknął się nasz Wiciuś Kobyłka na pannę Anielę.

Rozmowa, jaką odnotowaliśmy skrupulatnie, była krótka, choć odegrała niemałą rolę w przyszłości.

Kobyłka zapytał pannę Anielę:

— Czy kobyłka może być jeszcze panną?

Wtedy córka patrycjusza miasta zakreśliła się w miejscu — i krzyknę-wszy — parobku zawożony — zniknęła, jak sen jaki śloty.

Tadeusz Słupecki

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Prenumerata 1 kopertą: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-88. Tel. Redakcji 751-80. Dod. wewnętrzny 91, 93.
REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,— zł; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6342.110 z zaznaczeniem „za tyc. „Wieś”.”

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 8/5 3-B-13445

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wliczy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.